Nr. 46. Warszawa, dnia 12 Listopada (31 Października) 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE WYZNANIA BISMARKA.

Nie było może w wieku bieżącym człowieka, dla którego dzienniki polityczne powinnyby czuć większą wdzięczność, niż dla Bismarka. Żaden bowiem nie dostarczał im tyle i tak „pikantnego“ materyału, jak on. W języku niezmiernie cięty, dowcipny, zuchwały, lekceważący wszystkich i wszystko, nienakładający swoim słowom żadnych hamulców, a przytem niezwykle bogaty we wspomnienia, ile razy i do kogokolwiek otworzy usta, napełnia świat gazeciarski wrzawą. Jedni mu złorzeczą, drudzy go wysławiają, inni z jego wyznań wyłuskują fakty historyczne, a wszyscy są tak zacietrzewieni, jak nigdy i przy niczem. Bez przesady też rzec można, że od chwili ustąpienia Bismarka zapanowała w polityce i jej organach dziwna cisza, którą on tylko od czasu do czasu przerywa swojemi wynurzeniami wobec odwiedzających go korespondentów. I znowu świeżo nakładł pełną torbę sarkazmów współredaktorowi *Leipz. Nachrichten*, który je częściowo w swym dzienniku wysypuje. Z całego świata zbiegło się do tych garści ptactwo gazeciarskie, które je dziobie, rozgrzebuje, wybiera ziarna i odrzuca plewy. Ponętna to, ale niełatwa praca. Kiedy bowiem Bismark mówi prawdę, choć zawsze zachowuje pozory zupełnej szczerości — trudno odgadnąć. Setkom faktów, które uchodziły za stwierdzone, setkom własnych zapewnień, które najuroczyściej ogłaszał, gotów zaprzeczyć, jeżeli tylko w ten sposób może ugodzić przeciwników. Powszechnie wierzono, że w r. 1875 chciał wywołać wojnę z Francyą; on teraz utrzymuje, że był to wymysł ks. Gorczakowa. Zdawało się, że nigdy nie wypuszczał z rąk steru polityki zagranicznej; a on powiada, że w epoce walki religijnej (z katolicyzmem) kto inny go w tej roli wyręczał i prowadził nawę państwa wbrew jego woli i po za jego wiedzą. Sam przed kilku laty zaręczał, że tej walki (t. z. „kulturkampfu“) nie wywołał, lecz że mu ją narzucił minister Falk; teraz znowu dowodzi, że ona go całkiem pochłaniała i nie pozwalała mu zająć się polityką zewnętrzną itd. Ze szczególnem i łatwo zrozumiałem upodobaniem wprowadza on do tych opowieści osoby zmarłe, które naturalnie zaprzeczyć mu nie mogą. Za każdym razem te same wypadki i stosunki przedstawia odmiennie, zależnie od celu, do jakiego mu służą. Wtedy, gdy wszyscy na podstawie własnych jego świadectw wyrobili sobie już pewne przekonanie o tym lub owym ciągu zdarzeń, Bismark nagle oświadcza, że jest to mniemanie naiwnej niewiadomości i że rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej.

Rozumie się, uważa siebie za jedyną mądrość polityczną, a więc obecny rząd za gromadę zarozumiałych fuszerów, którzy tylko psują jego dzieło i nic porządnego o własnych siłach zrobić nie potrafią. Zachowują przynajmniej potrójne przymierze. Alboż jest to ten sam związek, który ja stworzyłem? — odpiera szyderczo Bismark. Karykatura mojego pomysłu. Należałoby przypuszczać, że zamiar wzmocnienia sił zbrojnych państwa, które było corocznie przedmiotem natarczywych żądań b. kanclerza, zasłuży na jego uznanie. Gdzie tam! Dopóki był na urzędzie, dowodził wszystkimi wykrętami sofistyki, że od wschodu i zachodu sąsiedzi grożą Niemcom znaczną przewagą militarną, że Francya myśli tylko o napaści na nie i że trzeba nieustannie powiększać armię, chcąc mieć zapewniony pokój i bezpieczeństwo. Ponieważ teraz w jego ślady wstąpił i jego argumentów używa Caprivi, więc Bismark zapewnia, że Francya ani myśli o wojnie i że jest wojskowo znacznie słabsza od Niemiec. I tak we wszystkiem.

Trudno zaprzeczyć, że Bismark złośliwą ręką wbija mnóstwo szpilek w najdrażliwsze uczucia członków dzisiejszego rządu i że w swych szykanach nie oszczędza nawet monarchy. Dość zauważyć np., że gdy jego żonie przyniesiono list z tytułem „księżnej Lauenburg,“ powstał (jak opisuje sprawozdawca lipski) z szyderczym śmiechem, przyłożył po wojskowemu palec do czoła i rzekł: jestem szczęśliwy, że mogłem poznać waszą dostojność. Dość również zrozumieć jego opowieść o zamierzonej abdykacyi zmarłego Wilhelma, którego spotkał na „nieoświetlonej stacyi,“ „ledwie wyszukał w pociągu“ i namówił do zatrzymania korony. Tem przypomnieniem zdaje się on mówić Hohenzollernom: wiedzcie, czem byliście, zanim was uczyniłem tem, czem jesteście. Są to wszystko obrazy wyraźne, niedwuznaczne, wymierzone wprost do Wilhelma II. Ale po za koło tych osobistych zranień strzały Bismarka dalej nie sięgają, gdyż są to tylko groty bezsilnej złości ubezwładnionego tytana, a nie rakiety, oświetlające narodowi drogę. W swoich wycieczkach i napaściach nie rozwija on żadnego programu, przeciwstawianego „nowemu kursowi,“ nie stawia żadnej zasady politycznej, oprócz starej a dziś w jego ustach dziwnie brzmiącej: *l'etat c'est moi*, nie podnosi żadnej idei, którą mógłby nazwać hasłem całego swojego życia i celem dążeń narodu. Gra on tylko rolę przekory, szydercy, dowcipkarza lub krytyka, a przedewszystkiem mściwego wroga. Tymi środkami można stworzyć ciekawe, śmieszne lub gorszące widowisko, ale nie można stworzyć potężnego ruchu politycznego. Bo i cóż mieliby zrobić jego zwolennicy, gdyby mu chcieli dogodzić? Zmusić Wilhelma II, ażeby go przeprosił i Capriviego, żeby mu ustąpił? Byłby to niezły koncept w farsie, ale nie w poważnej rzeczywistości. A ponieważ Bismark ją dobrze rozumie, więc niczego nie żąda, tylko irytacyi swych przeciwników. I ten cel osiąga.

Jako wódz bez sztandaru, jako polityk bez programu, jako wróg bez siły nie byłby on zatem wcale groźny dla obecnego rządu, gdyby ów rząd składał się z ludzi utalentowanych. Niestety, posiada on zdolności małej miary. Chwiejnością, omyłkami, nieu-

miejętnością rozwiązania trudnych zagadnień budzi w narodzie zniechęcenie i skutkiem tego nadaje szykanom swego krytyka silny rezonans. Nie satyry więc Bismarka, ale nieudolność tych, w których on uderza, oświetlone przez niego, sprawiają, że uszy wyciągają się w stronę Friedrichsruh.

Z AUSTRYI.

Nowa sesya parlamentu. — Niemcy w łaskach u rządu. — Zapłata czy zadatek? — Sprawa liberecka. — Konferencya praska.

Im dłużej trwa polityka „wolnej ręki,“ wynaleziona przez hr. Taaffego przed dwu laty, tem bardziej podziwiać musimy zręczność mistrza, umiejącego stosować oryginalny ten system do najtrudniejszych położeń, a nawet udoskonalać go czasem. Właśnie teraz widzimy znowu, do jak zdumiewających rezultatów dojść można przy pomocy tego systemu. Oto zgromadza się Rada państwa na nowe obrady — i żadne ze stronnictw nie ma dotychczas najmniejszego pojęcia o tem, jak ukształtują się stosunki parlamentarne w ciągu tej sesyi. Ogólna tedy radość z tego, że w programie tegorocznym nie ma żadnej sprawy ważniejszej, która mogłaby wstrząsnąć tą sztuczną równowagą, polegającą właściwie na ogólnej bezczynności. Możnaby wprawdzie zająć się reformą podatkową lub nowym kodeksem karnym, przedmiotami wielkiej doniosłości, stojącymi od lat wielu na porządku dziennym; ale któż chciałby lekkomyślnie narazić się na takie niebezpieczeństwo? Kto wie, czy w ostatniej chwili, wobec gotowych projektów rządowych lub w toku obrad, które ze stronnictw nie zechciałoby odrazu skorzystać ze sposobności i drożąc się z udzieleniem swej pomocy, wymódz u rządu ustępstwa, których teraz nawet przewidzieć niepodobna? Ze zgrozą wspominają wszystkie grupy o podobnym niespodzianym zamachu, który udał się niedawno niemcom przy reformie walutowej. Któżby mógł był pomyśleć, że przy tym ogniu rozpalonym *pro publico bono* zastęp Plenera zechce i potrafi upiec dla siebie pieczeń osobną? A jednak tak się stało. Cały szereg ustępstw, poczynionych ze strony rządu w ostatnim czasie na korzyść niemców, a z niezaprzeczoną szkodą innych narodowości, ustąpienie ministra Prażaka, usunięcie kraińskiego namiestnika Winklera, znanego ze swej sympatyi dla dążeń słowieńskich, zastąpienie go figurą bezbarwną, baronem Heinem, wreszcie ostatnie mianowania członków do Izby panów, które obdarowały niemców najszczodrzej — wszystkie te fakty dadzą sprowadzić się po części do owej słynnej tajnej konferencyi między prezesem gabinetu a przewódcami liberałów niemieckich, przy której ci ostatni, zawezwani przez rząd do zagłosowania projektów walutowych, utargowali dla siebie wcale pokaźne zyski.

Mówię „po części,“ gdyż dadzą się one prawdopodobnie odnieść i do innej jeszcze przyczyny. Hr. Taaffe płaci w tym wypadku nietylko cenę kupna za interes ukończony, ale równocześnie i zadatek w interesie dopiero zamierzonym. Z początkiem stycznia rozpoczynają się znowu obrady sejmu czeskiego, przy których położenie będzie fatalniejsze, niż kiedykolwiek. Sprawa ugody czesko-niemieckiej wstąpiła wreszcie w stadyum, niedozwalające wątpić dłużej o zamiarze rządu wyzwolenia się od obowiązków, które przyjął w swoim czasie wobec niemców. Prasa niemiecka oświadcza stanowczo, że nie uda mu się tym razem wykręcić tak tanim kosztem, jak dotychczas i odwlec sprawy do przyszłego roku umyślnem wyciąganiem drobiazgowych sporów o odgraniczenie tego lub owego okręgu sądowego lub szkolnego, a uporczywem omijaniem kwestyj zasadniczych. Hr. Taaffe jednak widocznie innego jest zdania. Myśli on, że mu się to uda, jak przedtem i prawdopodobnie liczy dobrze. Bystremu jego oku nie uszedł mianowicie zaostrzający się z każdym dniem antagonizm między liberałami a narodowcami niemieckimi. Narodowcy — to stronnictwo skrajne, biorące swe hasła na seryo. Nie odstąpią oni na krok od żądań ugodowych, chociażby mieli uporem swym wprawić w kłopot rząd i wszystkie strony zainteresowane. Liberalni poplecznicy Plenera natomiast — to partya umiarkowana, która chociaż czuje się zobowiązaną do bronienia ugody, gotowa jest przecież w danej chwili pohamować swój zapał idealny dla korzyści praktycznych, która, słowem, nie wypuści wróbla z ręki dla gołębia na dachu. Otóż właśnie o liberałów niemieckich chodzi hr. Taaffemu; ich to pobłażliwość dla komedyi, mającej się odegrać w styczniu, a znanej już z góry wszystkim, chce on okupić darami, którymi obsypuje niemców od kilku miesięcy.

Być może, że głośna sprawa liberecka jest tylko próbą w tym kierunku, niejako puszczonym przez rząd we właściwej chwili „balonem próbnym.“ Rada miejska w Libercu (Reichenbergu), złożona z narodowców niemieckich, została przez namiestnika czeskiego, hr. Thuna, nagle rozwiązaną dla pangermańskich swych dążności, z któremi bynajmniej się nie kryła. W pierwszej chwili powstała wrzawa niesłychana w prasie niemieckiej, podniosły się krzyki oburzenia przeciw rządowi ze wszystkich stron; w drugiej — zapanowało śród liberałów niemieckich milczenie, po za którem nie trudno było domyśleć się zakłopotania i niepewności. Cóż się wreszcie stało? Stronnicy Plenera, którzy idąc za pierwszym swym popędem, poczuwali się do obowiązku solidarności z narodowcami w sprawie dotyczącej miasta niemieckiego w Czechach, po pewnym namyśle doszli do przekonania, że ona właściwie mało ich obchodzi i że nie warto narażać dla niej na szwank przyjaznych stosunków z hr. Taaffem. Dokonali tedy na prędce odwrotu i zamiast przyłączyć się do wniosku narodowców, żądających stanowczo usunięcia postanowienia hr. Thuna, poprzestali na grzecznem zapytaniu o motywy tego kroku, wystosowanem na pierwszem posiedzeniu parlamentu do prezesa gabinetu. Sprytny rachmistrz nie omylił się więc w swych obliczeniach: udało mu się stworzyć sytuacyę, w której główne stronnictwo niemieckie wyrzekło się otwarcie wspólności z partyą zajadłych obrońców ugody, niezdolną do żadnych ustępstw. Fakt ten rozluźnił jeszcze bardziej węzły, łączące dotychczas obie grupy i przygotował tym sposobem grunt dla dalszych działań rządu aż do chwili stanowczej, tj. do otwarcia sejmu czeskiego.

Śród czechów położenie nie zmieniło się wcale, mimo wspólnej narady wszystkich stronnictw czeskich i morawskich, która odbyła się niedawno w Pradze. Nie można się też była spodziewać po niej niczego, jak chyba gwałtownych starć między młodoczechami a przedstawicielami innych stronnictw. I pod tym względem jednak zawiodły oczekiwania. Przebieg posiedzenia był

---

25)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

Podczas obiadu u Löchena mówiono o... pani Ryen.

Dr. Thisted jest i jej domowym lekarzem, zna ją dobrze. Pastor Löchen również ją zna — ze stowarzyszeń religijnych. Stała się pobożną chrześcianką.

— Dowodzi to niezbicie słuszności metody psychiatrycznej — rzekł doktór. Była dość znużona, cierpiała na histeryczne bóle głowy, bezsenność, na ciągły niepokój; chwyciła się już była nawet i morfiny; wogóle cały jej system nerwowy był dość chory. I oto czuje się doprawdy zdrową.

— Więc skądże ta zmiana? — zapytałem.

— Poprostu skłoniłem ją, aby poszła do kościoła.

— Tak!?..

— Właściwą przyczyną wielkiej ilości cierpień nerwowych naszego wieku jest zamęt, jaki zapanował w naszych poglądach. Człowiek traci... dajmy na to, Boga; tem samem życie duszy traci swoje centrum; życie to pozostaje, że tak się wyrażę, bez regulatora i w kurczowo-dzikim biegu zaczyna pędzić, bez miary i celu. A wśród biegu pęka sprężyna. Nadto pani Ryen w małżeństwie czuła się nie mniej zadowoloną, co jeszcze sytuacyę pogorszało. Zajmowała się tysiącem rzeczy, byleby czas zabić, myśli zagłuszyć — to przecież kolej zwykła — i oto już sięgnęła po morfinę. Ale pocichutku wszystko znowu wróciło do porządku, kiedy zwolna, stopniowo... znalazła harmonijniejszy pogląd na życie; to wpłynęło uspokajająco na jej duszę, a tem samem i na system nerwowy.

— Pan jesteś... chrześcianinem, doktorze? — zapytałem z niejaką niepewnością.

— No, dogmatycznym chrześcianinem nie jestem. Lecz stanowczo jestem religijnym i w podstawowych zasadach hołduję chrześciaństwu. Nasz czcigodny gospodarz, pastor Löchen, z pewnością nie spodziewa się, iżbym dostał się kiedyś do piekła — dodał z uśmiechem.

— Ach, te dogmaty! — westchnął pastor — dogmaty, które wskutek nieszczęsnego nieporozumienia niejedną już religijną duszę z właściwej sprowadziły drogi. A jednak doczekamy się — nadmienił wesoło — że owo chrześciaństwo, którego dogmaty my, księża, usunęliśmy ze świata, przez panów lekarzy napowrót zostaną doń wprowadzone.

— Pardon — rzekł doktor grzecznie — to panowie księża medycynę znowu na nogi postawią.

Rozmowa przeszła na inne tory; siedziałem, milczałem i myślałem o Fanny.

Więc może teraz znowu jest piękną...

— Ależ jaką ulgę dać może wiara w istnienie tego, czemu istnienia udowodnić niepodobna.

Dr. Thisted odparł:

— Co pan rozumie pod tem staroświeckiem słowem, udowodnić? Czy chcesz pan wziąć Boga pod mikroskop?

— I to niczego by przecież nie dowiodło.

— Nie; w tem właśnie tkwi błąd odwieczny. Mikroskopu używa się przy badaniu bakteryj; skoro się jednak chce zbadać słońce np. albo drogę mleczną, natenczas używa się innych narzędzi.

— Prawdę powiedziawszy, im więcej rozmyślam, tem więcej przychodzę do przekonania, że właściwie nic mi nie przeszkadza w przyjęciu waszego nowocześniejszego na świat poglądu, doktorze. Lecz i to mi nie pomoże. Pozytywistyczny sceptycyzm wyżarł duszę moją niby kwas, wyżarł ją tak, że zanikła w niej nawet zdolność wierzenia. Faktycznie wierzę tylko w to, co widziałem pod mikroskopem. Sam organ jest sparaliżowany.

— Czy innego objaśnienia nie ma?

— Naprzykład?

— Przypominam sobie czas, kiedy zacząłem zaciekawiać się hypnotyzmem. Studyowałem go potajemnie, a szydziłem zeń publicznie; w końcu, właściwie — wierzyłem, jednak szydziłem dalej. Dlaczego?

nader spokojny i przypomniał owe obrazki z ogrodu rajskiego, w których widzimy owieczki, spoczywające obok tygrysów, a lwy obok zająców. Rygier siedział obok Gregra, ks. Schwarzenberg obok Vaszatego; wszyscy wyszli cali i skończyło się na uchwale, nieobowiązującej nikogo i do niczego.

Pod najkorzystniejszymi warunkami wstępuje tedy w nową sesyę parlamentarną — hr. Taaffe. Stronnictwa, ugrupowane około rządu, spoglądają wzajem na siebie pochmurnie, jak zazdrośni rywale około zręcznej kokiety. Ona obdarza naprzemian każdego wdzięcznym uśmiechem, a wiedząc dobrze, że równym podziałem drobnych tych łask wszystkich utrzyma na wodzy, nie myśli wcale o wybraniu jednego z nich.

S—l.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prace parlamentarne rozpoczynają się wszędzie. Otwarto je również dla Prus mową tronową w Berlinie — suchą, martwą i dla słuchaczów nieprzyjemną, bo stwierdzającą 42 miliony niedoboru za rok ubiegły. Dzienniki są z niej wielce niezadowolone.

Wybory do parlamentu włoskiego dały rządowi znaczną przewagę. Ale — jak słusznie zaznacza *Temps* — niczego to jeszcze nie dowodzi i nie rozstrzyga o przyszłości gabinetu Giolittiego, gdyż Crispi tak samo w wyborach zyskał znaczną większość i upadł. Przeciwnicy obecnego ministeryum głoszą, iż ono więcej obiecuje, niż dotrzymać może. Prawda, ale w podobnem położeniu znajduje się każde inne, które również będzie musiało przyrzekać, że przywróci równowagę w budżecie i naruszać ją ciągle wydatkami na armię.

Burzliwie rozpoczęły się obrady parlamentu belgijskiego, mającego przekształcić konstytucyę w duchu rozszerzenia praw wyborczych. Ponieważ większość, do której należą również liberałowie, przeciwna jest zaprowadzeniu głosowania powszechnego, więc rozjątrzona tem ludność burzy się, tworzy zbiegowiska, osypuje przejeżdżającego króla kartkami i naciera na policyę. Podobno skutki tego wrzenia są już bardzo poważne, mianowicie w liczbie zabitych i ranionych. Od pewnego czasu Belgia jest widownią bardzo gwałtownych wstrząśnień polityczno-społecznych; przypuszczać należy, iż one jeszcze bardziej się wzmogą, jeżeli grupy parlamentarne, władające dotąd krajem, zechcą bronić swych przywilejów.

Objaśniano, że prezes gabinetu węgierskiego, Szapary, jest przeciwnikiem odebrania kościołowi na rzecz państwa aktów narodzinowych i ślubnych, czego znowu żądają jego koledzy. Niezrozumiale więc brzmi jego oświadczenie w sejmie: Rząd przygotował zaprowadzenie ogólnych metryk cywilnych i zupełnej swobody wyznań (z możnością przyjmowania nawet judaizmu). *Korona* wszakże odmówiła swej zgody na powszechnie obowiązujące śluby cywilne, skutkiem czego cały gabinet podał się do dymisyi, która została przyjęta d. 6 b. m. Wygląda to tak, jak gdyby tylko król węgierski oparł się reformie. Czy nowe ministeryum jej zaniecha? Wątpimy, gdyż jest ona wyrazem życzeń narodu. Ciekawy w takim razie byłby wynik starcia między przyszłym gabinetem a koroną.

Wybory rozmaitych dostojników państwowych i kościelnych, co do których porozumienie się ścisłego koła powinnoby być daleko łatwiejsze, przedstawiają nieraz większe niespodzianki, niż rezultat wyborów, dokonywanych przez masy narodu. Leon XIII, Carnot i inni, wyszedłszy z urny, wywołali zdziwienie. Ale chyba rzadko było ono tak wielkie, jak po wyborze kanonika Cohna na arcybiskupa ołomunieckiego. Cohn, jak to samo nazwisko wskazuje, jest prawowitą odroślą szczepu izraelskiego, sprawdzono też, że jeszcze jego dziad był żydem. Dla arystokracyi kościelnej jest to więc skandal.

Od wyroku prezesa ministrów, Loubeta, w sprawie zatargu górników z zarządem w Carmaux, furyaci anarchizmu postanowili zaapelować do zwykłej swojej instancyi — dynamitu. Podłożyli więc na ulicy pod mieszkaniem Towarzystwa kopalń w Paryżu bombę, którą znaleźli dwaj agenci policyjni; gdy ją zanieśli do biura, wybuchła i zabiła obu, zrządziwszy przytem wielkie zniszczenie. Znowu zgroza i trwoga opanowała Paryż. Na posiedzeniu Izby wszystkie stronnictwa domagały się od rządu energii i surowości w ściganiu winowajców. Jednocześnie górnicy z Carmaux wyparli się związku ze sprawcami zamachu.

Prezydentem Stanów Zjednoczonych wybrany został Cleveland.

BADANIA NAUKOWE.

KILKA SŁÓW

w obronie tak zwanej geo-grafii.

O żadnym może przedmiocie nie panują u nas śród publiczności (a po części i śród uczonych) tak niejasne i fałszywe pojęcia jak o geografii.

1. *Geografia jest uważana za naukę elementarną*, jedynie szkolną, niegodną człowieka namaszczonego do wyższych uniwersyteckich studyów; tymczasem gruntowne traktowanie jej wymaga wysokiego naukowego przygotowania, albowiem potrąca ona z jednej strony o tak wysoką matematykę jak mechanika ciał niebieskich, z drugiej o tak trudną kwestyę filozoficzną jak związek materyi z duchem, ziemi z człowiekiem. Nie dziw też, że gdzieindziej, szczególnie w Niemczech geografia jest oddawna nauką uniwersytecką i nie staje tam bynajmniej wobec swych słuchaczy jako skromny intruz z niższych klas gimnazyalnych; odwrotnie: słuchacze uczuwają nieraz wobec niej luki w naukowem przygotowaniu, utrudniające im podążanie na wyżyny tej umiejętności lub zmuszające profesora do obniżania jej naukowego poziomu niedostępnego dla części słuchaczy, tych szczególniej, którzy nie posiadają dość matematyczno-przyrodniczego wykształcenia.

2. *Geografia jest uważana za naukę pamięciową*, faktyczną; tymczasem ona wymaga bystrości rozumowania i postrzegania: rozważa ona bowiem każde zjawisko w związku z całą sumą innych jemu towarzyszących, jako ogniwo nieprzerwanego łańcucha przyczyn i skutków. Pamięć szczegółów jest w niej tylko dość obojętnym produktem ubocznym rozumowania i postrzegania. A jednak nietylko śród przeciętnych ludzi praktycznych, którzy chcą się dowiedzieć z geografii jak długo się jedzie z Psiej Wólki do Kiernozi, ale i śród niektórych uczonych, zacieśnionych w swym specyalizmie można napotkać wymaganie faktyczności od geografii a to na tej zasadzie, że a) *samo skonstatowanie faktu jest procesem naukowym*, b) *fakty są potrzebne w życiu praktycznem.*

— No — dlaczego?

— Ostatecznie doszedłem przyczyny; ale przez trzy miesiące usiłowałem gwałtem wypierać się wobec samego siebie tej wiary. Źródło całej mojej niewiary tkwiło w tem, że posiadałem bardzo rozumnego i utalentowanego przyjaciela, którego się bałem; bałem się jego drwin — i drwin jego towarzyszów — brzmi to niepięknie; lecz czasem względy, wstrzymujące nas od zbliżenia się do tego, co w gruncie rzeczy uznajemy, są tak błahe...

— No... wie pan...

— Więc też przeciąłem węzeł i rzekłem sobie: nie dbam o nich wszystkich! Nie pozwolę, aby mi i nadal dyktowano, co mam przyjąć, a czego przyjąć mi nie wolno! I istotnie miałem tyle samodzielności, że pęta zrzuciłem.

Nie słuchałem już, co dalej mówił. Odszedłem i myślałem o Jerzym Jonatanie. Czy istotnie *to* miałoby być przyczyną?!

XL.

(Kwiecień, 89).

Każdej niedzieli chodzę do kościoła i słucham Löchena. I zawsze uspokojony powracam do domu.

Ta cicha głębokość, ta święta prostota, ta dobroczynna jasność pytań, które w gruncie rzeczy jedynie stawiać mamy prawo... dlaczegóż dawniej nie miałem odwagi zajść do tych namiotów!

Niema tu ani śladu owej wrzawy i hałaśliwości wiedzy, mającej zasypać zapomnieniem przepaść, nad którą widnieją zgłoski: „nie wiemy.“ Cicho, jasno, kojąco płynie ten potok wiary, taki płytki, że jagnię przejść przezeń może, a taki głęboki, że słoń przezeń popłynie.

...I ona tu siedzi. Blada, wychudła, nosząca ślady wielorakich cierpień, z eterycznym błyskiem w głębokich źrenicach. Odzyskałem znowu uczucie spokoju i zadowolenia, którego nie doznałem od czasu, kiedyśmy to oboje, ona i ja, wspólnie po ciemnych kroczyli drogach.

* * *

Muszę się starać, aby pokonać to wrażenie, iż „za mną *on* postępuje“; wrażenie to może się stać zbyt silnem. Kiedy niekiedy ogarnia mnie ono lękiem, który bezwładnym mnie czyni.

Dziś, gdy wlókłem się drogą ku Ulewaldowi, ominął mnie jakiś blady, czarno ubrany mężczyzna; wyglądał ponuro, otoczony był niby mrokiem, niby nastrojem grobowym; nieregularne rysy twarzy, małe trochę, nieśmiałe oczy wzbudziły moją uwagę; on sam zmierzył mnie dziwnem jakiemś spojrzeniem... Nagle zdało mi się, że skądś go znam, nie przypomniałem sobie jednak nazwiska... w następnej chwili błyskawicą zaświtało mi: to *on! on!* I przejęty strachem, który mrozem ścinał mi ciało, odejmując niemal władzę ruchu, zacząłem szukać ratunku w ucieczce.

* * *

Kto jest nieszczęśliwym? Komu powierzona została ciemna tajemnica.

Taka tajemnica — to niby szatan w klatce: chce się wyrwać, wyrwać chce się koniecznie! Sam dostrzegam, jak chodzę i głośno do siebie mówię: „Dr. Kwaale zażył trucizny; dr. Kwaale zażył trucizny!.. Nagle drgnę w przestrachu, oglądam się; ktoś mógł się przecież znajdować w pobliżu, mógł usłyszeć.

Odtąd — ani trochę pjolteru — i ani trochę absyntu. Pomyśleć, że w chwili zapomnienia mógłbym jednem jakiemś słówkiem zdradzić to, co i tak z zębów mi się wysuwa!..

Jestem znużony. Uczucia trwogi ogarniają mnie coraz bardziej. W nocy nie mogę spać z obawy, że *on* mi się zjawi; leżę przy świetle i czytam Biblię.

Jezus jest dobrym pasterzem. W jego objęciu nie trzeba się już bać szatana, ani też szatańskiego posłannika...

To stare, bezbożne istnienie, czyniące ze świata starą otchłań śnieżną, upiorów pełną... czas już, czas, abym się ratował. Oto wschodzą dni nowe, jaśniejsze. Znowu dźwięki dzwonów wielkanocnych płyną nad ziemią, znowu rozbrzmiewa pieśń poranna...

(D. n.).

Jakkolwiek oba te twierdzenia same w sobie są zupełnie słuszne, to jednak nie mogą one służyć bynajmniej jako argumenty za fakttycznością, a przeciw rozumowości w geografii; albowiem *co do pierwszego*, to zupełnie co innego jest proces skonstatowania faktu, a co innego jego spamiętanie: co innego jest np. wymagać od uczącego się geografii, by wiedział, w jaki sposób konstatuje się fakt, że góra ma tyle a tyle metrów wysokości, to jest by znał metody pomiaru wysokości gór (barometryczną, hypsometryczną, niwelacyjną i trygonometryczną), a co innego wymagać, by pamiętał kilkadziesiąt wierzchołków pewnego systematu górskiego z ich cyframi wysokości i to jeszcze, jak zwykle, z dokładnością do jednostek metrów!

Co do drugiego, to w wykładzie geografii nie podobna przyjąć podstawy praktycznej w sensie ciasnym faktycznym, gdyż nie wiadomo, jakie to mianowicie fakty podawać mamy uczącym się, jakie im w dalszem życiu będą potrzebne, to bowiem zależy od tego, jaki zawód ktoś obierze, na jakiej arenie działać mu przyjdzie. Nauczyciel czy autor, któryby chciał takie rzeczy przewidywać musiałby, jak to uczynił pewien autor galicyjski, umieszczać w swej geografii nawet rabinów powiatowych, boć naturalnie jakiemuś uczącemu się geografii żydowi wiadomość ta może być „w praktyce potrzebna"! Panowie żądający faktyczności w geografii zapominają, że rolę tę, jaką oni pragną narzucić naszej nauce, spełniają już oddawna kalendarze informacyjne, rajzebuchy i wreszcie faktorzy hotelowi. Geograf nie może się zaprzątać domysłami, jakie to faktyczno-informacyjne wiadomości mogą być potrzebne zosobna różnym uczonym, politykom, przedsiębiorcom, komiwojażerom, reporterom itd. itd. Wprawdzie każdy może z geografii odnieść praktyczną korzyść, ale to zupełnie w innym daleko szerszym, nie zaś ciasnym faktycznym, sensie. Praktycznem zadaniem geografii jest mianowicie dać uczącemu się *ogólne* narzędzie, *ogólny* oręż w czekającej go walce o byt, to znaczy rozwinąć jego władze umysłowe rozumowaniem a władze zmysłowe — obserwacyą. Kto wykształcił w sobie te dwie władze, ten rzucony w *jakiekolwiek* warunki, na *jakąkolwiek* arenę zoryentuje się szybko w sytuacyi i da sobie radę.

Chodzi tu mianowicie o wyrobienie tego co nazwałbym *zmysłem geograficznym*. Zmysłem geograficznym jest np. to, gdy ktoś, wziąwszy do ręki mapę nieznanego sobie bliżej kraju, potrafi z niej wywnioskować najcharakterystyczniejsze cechy kształtu powierzchni, biegu wód, stosunków klimatycznych, przyrody organicznej i człowieka i stąd potrafiłby się sam w tym kraju zoryentować lub udzielić cennych kierowniczych wskazówek udającemu się tam podróżnikowi, wojownikowi, koloniście, handlarzowi itp. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś z *luźnych* wskazówek podróżników, którzy przebiegli nieznany kraj po oddalonych od siebie drogach, potrafi wytworzyć sobie o nim *całym* trafne wyobrażenie, a przytem, być może, sprostować niejeden błąd we wskazówkach podróżników na podstawie przeczących sobie wzajemnie doniesień. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś z chaosu geograficznych warunków towarzyszących danemu zjawisku, potrafi wyróżnić te, które są jego główną przyczyną. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś, jak swego czasu Behm, potrafi dowieść, że pewna rzeka (Kongo), której niewiadome są źródła, i druga (Lualaba), której niewiadome jest ujście stanowią jedną i tą samą rzekę (Lualabę-Kongo) itd. Pamiętanie faktów wymagane przez wielu nic ma nic wspólnem z takim „zmysłem geograficznym," podobnie jak czynność umysłowa rachmistrza, mnożącego na pamięć wielocyfrowe liczby z czynnością matematyka, badającego prawa związku między wielkościami, odkrywającego, jak Leverrier, a priori nowe planety.

Pomijając nawet czysto umysłowe korzyści takiego traktowania geografii, trzeba przyznać, że i pod względem praktycznym taki „zmysł geograficzny" jest daleko więcej wart niż pamięć szczegółów: ktoś coby, ucząc się w szkołach najobszerniejszej geografii faktycznej, udał się następnie do nieznanego sobie kraju, to, w przypuszczeniu nawet, iż wszystkie fakty wyuczone mechanicznie pozostałyby mu w pamięci, przekonałby się natychmiast o zupełnej nicości swej wiedzy faktycznej w porównaniu do wymagań miejscowych, które oszołomiałyby go swym chaosem, jako nieprzywykłego do kombinowania, jako nieposiadającego „zmysłu geograficznego." Kto zaś posiada zmysł geograficzny, ten zoryentuje się szybko w nowych dla siebie stosunkach, potrafi opanować je umysłowo i podjąć z nimi w praktyce skuteczną walkę.

Zresztą gdybyśmy nawet stanęli na chwilę na stanowisku zwolenników wyuczania się faktów, to i do tego celu geografia rozumowo traktowana byłaby daleko skuteczniejsza: fakty otrzymane jako produkt uboczny rozumowania staną się trwalszą własnością naszej pamięci, niż wyuczone wprost, wykute, albowiem wiadomo psychologom, iż tem silniej utrwalają się w naszej pamięci pojęcia, im większą ilością nici związane one będą z innemi, które są ich przyczynami lub skutkami.

3. *Geografia jest uważana za naukę suchą i nudną.* Zarzut ten może ściągać się jedynie do czysto faktycznie traktowanej geografii, do tych pedagogów lub autorów, którzy w miejsce pełnych ruchu i życia obrazów geograficznych usiłują wznieść trupiarnię pełną szkieletów i kości („podręczniki czysto faktyczne" wymagane przez p. Plebańskiego, zaciętego przeciwnika rozumowości w geografii). Traktowana jednak według wymagań dzisiejszej nauki geografia jest chyba jednym z przedmiotów najbardziej interesujących dla każdego, kto umie *myśleć głęboko*, *czuć artystycznie* lub *działać praktycznie* na szerszą skalę.

Czyż bowiem nie powinna *zainteresować każdego myślącego człowieka* ta czysto geograficzna kwestya, dlaczego np. w Australii utrzymały się dotąd twory dawno minionej geologicznej przeszłości, które gdzieindziej napotykamy tylko w stanie kopalnym głęboko ukryte pod ziemią; dlaczego tym sposobem Australia jest krainą „skaczących skamieniałości," ożywionem muzeum dawnych epok stworzenia? Dla czego fauny mórz tak blizkich jak Śródziemne i Czerwone są zupełnie różne, mimo to, że dzielący je wązki przesmyk jest bardzo świeżego pochodzenia? Dla czego jeziora są niejako „przewodniemi skamieniałościami" formacyi peryodu lodowego, to jest dokumentami dawnego zlodowacenia? Dla czego z wiecznych lodowisk wnętrza Grenlandyi wieją wiatry ciepłe? itd. itd.

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

P. Bourget. *La terre promise.* Paryż 1892.

Tytuł najnowszej powieści Bourgeta dość niezrozumiały i w żadnym prawie niepozostający związku z treścią, w zastosowaniu do wartości samego dzieła mógłby się wydać paradoksalnym. „Ziemia obiecana" nie tylko że nie wprowadza nas w wymarzone jakieś krainy, lecz nawet pod względem estetycznym i literackim należy do rzeczy mniej poczytnych. Jest to jeden ze słabszych utworów Bourgeta. Węzeł łączący luźnie jego napis i osnowę stanowi chyba mocno katolicka religijność, owiewająca swem tchnieniem wszystkie niemal karty, począwszy od pierwszej do ostatniej. Nikt by się nie spodziewał po przywódcy „psychologów" francuskich tych bogobojnych pokłonów.

Zagadnienie rzucone w tygiel filozoficzny „Ziemi obiecanej," zaczerpnięte zostało podobnie jak w „Kłamstwach" lub w „Zbrodni z miłości," u źródła cudzołóztwa. Tylko że w owych dwu powieściach autor studyował przedewszystkiem sam objaw, tu zaś chodzi o następstwa. „Czy i o ile ma właściwy ojciec obowiązki względem swego dziecka, o to pytam w *Ziemi obiecanej*" — wyraża się Bourget w długiej przedmowie.

W naszych czasach walki klasowej, zapasów całych warstw istnieją chyba bardziej palące pytania, niźli cudzołóztwo. Bezwątpienia i kwestya ta ma pewne znaczenie, ale czy w porównaniu z innemi nie niknie ona jak wzgórek wobec szczytów alpejskich? Pocóż więc pełzać po wzgórzu, obejrzanem i opisanem już niemal przez krocie przechodniów, kiedy można wdrzeć się na skałę wysoką, niebotyczną i stamtąd objąć szeroki, mgłami osłoniony horyzont? Lecz skoro już ktoś woli pozostawać na dole i bawić się pytaniami, przedewszystkiem obchodzącemi burżuazyę i arystokracyę, to powinien choć jasno i zrozumiale postawić je i rozstrzygnąć.

W ostatniej powieści Bourgeta i tego nie spotykamy. Francis Nayrac utrzymuje przez kilkanaście miesięcy stosunek miłosny z przyjaciółką swej siostry, Pauliną Raffraye; ze związku tego rodzi się córka Adela. Ponieważ dziecko przychodzi na świat już po zerwaniu, ponieważ nadto zazdrosny mąż Francis podejrzywał Paulinę o miłostki z innymi lwami salonowymi, więc myśli o ojcostwie nie budzą się w nim. W dziesięć lat potem zaręcza się z hrabianką — bohaterzy Bourgeta muszą być tytułowani — Henryką Scilly. Wtedy los zrządza, że do Palermo, dokąd wyjechał z narzeczoną i jej matką, przybywa ze swoją córeczką owdowiała obecnie Paulina. Henryka spotkawszy Adelę w publicznym ogrodzie, odnajduje w niej wielkie podobieństwo do znanej jej z fotografii, zmarłej siostry Francisa, opowiada o tem przy stole. Francis zaniepokojony już przed tem przyjazdem pani Raffraye, od której obawiał się wywołania przed narzeczoną widma dawnego ich stosunku, szuka sposobności przyjrzenia się Adeli i przekonywa się o słuszności spostrzeżeń Henryki.

Dotąd powieść jest zrozumiała, zawikłań ani nienaturalność nie ma. Ale od chwili odkrycia podobieństw, wątek się plącze. Francis rozdrażniony wpada do pokoju Pauliny i z ust jej otrzymuje potwierdzenie swych domysłów. Jako maszynka, rozwiązująca z góry postawiono zagadnienie, powinien by teraz zrobić krok stanowczy; tymczasem ogranicza się na postanowieniu — wyjazdu z Palermo. Piękna odpowiedź na podniesione w przedmowie pytanie! Niepokój Francisa i niewyraźne upozorowanie wyjazdu chorobą budzi podejrzenia Henryki, niezręcznem półsłówkiem odkrywa on jej mimowoli tajemnicę. Henryka, na którą autor jak najwięcej kładł barw, żeby przedstawić ją jako osobę naiwną, serdeczną a nawet dzielną, po wyznaniu tem — mdleje a potem zrywa. Zerwanie uzasadnia niewypełnieniem ze strony narzeczonego obowiązków względem Adeli.

Nie wiem przedewszystkiem, w jakiej sprzeczności z zamiarami małżeńskimi stoją obowiązki względem Adeli, zasięganie wiadomości co do jej pochodzenia i t. p. Wszak mógł Francis i po ślubie z tem wszystkiem załatwić się. Może nawet lepiej, niż przed ślubem, dzielna towarzyszka życia mogła mu snadniej dopomódz zmyć swą winę moralną. Ale z drugiej strony trudno określić sposoby tego zmycia, to

obowiązki, o których Bourget przebąkuje. Gdyby Adela była uboga, nieprawego pochodzenia, odpowiedź wypływałaby jasno, a pobudzenie do niej czytelnika należałoby nazwać postępkiem szlachetnym i światłym. Niestety, Adela ma rozległe dobra, posiada nazwisko, a że nie wie o właściwym swym ojcu, jest to do pewnego stopnia dla niej szczęściem. Możebnem byłoby tu jedno tylko rozwiązanie, postawiło by ono zarazem jasno kwestyę dzieci prawo-nieprawych, jak by je nazwać trzeba — oto gdyby Francis posiadał dostateczną odwagę i odpowiednio był umoralniony, rzucił by rękawicę opinii publicznej, wyznałby, że Adela jest jego córką i uzyskawszy pozwolenie matki, wziął ją do swego domu.

Bourget tedy zapowiedziawszy szumnie swoje zagadnienie, ani pomyślał o ostatecznem jego rozwikłaniu. Bo jakiż dalszy ciąg powieści: Henryka wyjeżdża do Tunisu, Paulina umiera na suchoty, jej córkę bierze do siebie ciotka, a Francis smutny po stracie narzeczonej postanawia wrócić do Francyi i — czuwać z daleka nad Adelą. Piękne zakończenie! Obowiązkiem „właściwego ojca" jest romantyczne czuwanie! Przynajmniej przy łożu śmiertelnem mógł uprosić matkę o pozwolenie wychowania córki, byłoby to rozwiązanie mocno fantastyczne, lecz w każdym razie rozwiązanie, którego przecież niezbędnie potrzeba w powieści *à priori* rozstrzygającej zagadnienia.

Bourget o tę śmiałość bohatera swego nie posądził. Kwestya więc dzieci cudzołożnych i nadal jeszcze będzie kołatać się w powieściach Francyi. Smutno z burżuazyjną literaturą francuską, skoro nawet w pytaniach tak podrzędnych wikła się niedołężnie i niezręcznie.

Pod względem artystycznym „Obiecana ziemia" również nie wiele przynosi. Pomijam nużącą metodę wysnuwania walk duchowych, w istocie będących bardzo drobnemi i nieuzewnętrznianiach w czynach. Stanowi to właściwość tego pisarza. Lecz już sam styl: niesmaczne porównanie, choćby tytułowe, które ma oznaczać spodziewane małżeństwo, brak wszelkiej ścisłości i odgraniczeń myśli oraz pojedynczych momentów, pozostawiają niemiłe wrażenie. Najbardziej zaś razi powracanie do dawnych form powieści: nieustanne mieszanie uwag pisarza do myśli i zdań bohaterów, wysuwanie na pierwszy plan własnej osoby autora. Na wstępie każdego rozdziału mamy sążniste rozmyślania o cudzołóztwie, ojcowstwie, stanach psychologicznych itd. Często B. tłumaczy swoich bohaterów: „Nie byliśmy przy rozmowie Francisa z Pauliną, lecz znamy wszystkie odnośne szczegóły"; „należy powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że itp." Literatura wybiła się już z tej nierównowagi stylistycznej, podniosła powieść na wyżyny przedmiotowej epopei, poco znowu wdziewać łuski, z których otarliśmy się? Wszak nietylko treść ważna ale i forma.

W. Bugiel.

LITERATURA POLSKA.

Włodz. Zagórski, *Szalone głowy*.

„Pospolitość, banalność, płytkość" — taki okrzyk wyrywa się z ust ciągle przy czytaniu przeważnej większości naszych powieści. Nadaremnie wyobraźnia szuka odświeżenia się u tego źródła, uczucie—pokrzepienia i podniecenia, myśl—rozwidnienia i pogłębienia swych widnokręgów. Rzadko, ach, jak rzadko są te nadzieje spełnione. Poprzestawać trzeba przeważnie albo na skrawkach, niewolniczo wyciętych z szarej tkaniny powszedniości życiowej, albo na niedołężnych i ślimaczych podlotach do wysoko gorejącego słońca prawdy i piękna, na podrygach wesołych i pustych, mających na celu uciechę „szanownej publiczności," zabawienie i zapełnienie cząstkowe pustki bytu gawiedzi inteligentnej i pseudo-inteligentnej lub na napuszonem moralizowaniu „myślącego ogółu," na próbach dostarczania mu wzorów i wskazówek „racyonalnego" postępowania, zohydzenia zaś i spotwarzania prądów szerokich, ideałów ogólnych i rozległych. Zadaniem szczytowem, rzadko jednak wypełnianem, artyzmu, a więc i powieści jest podniesienie czytelnika na wyżyny uczuciowe i myślowe, oderwanie go od wązkiej grządki osobistych spraw i dumań, wytworzenie w nim poczucia łączności i solidarności z całą masą ludzką. Przecież obrazy artystyczne mogą stać się ideą uogólnioną i filozoficzną. Ale wymaganiom takim zadośćuczynić może tylko natura artystycznie wyrobiona, której umysł stanowi ognisko idej bieżących o rozległej skali. Tylko ci potrafią pojąć teraźniejszość, którzy są jej prawowitymi synami, lecz nie istoty, nieodczuwające wszystkich bólów i zagadnień swojego czasu.

P. Zagórski ma niewątpliwie temperament, ale niewielką moc artystyczną, przynajmniej jako powieściopisarz. Górującą zdolnością poety, wogóle artysty, jest wyobraźnia: otóż władza ta u p. Z. wystarcza tylko na odtworzenie szczegółów, umiejętny ich układ, dobry smak, ale nie zdoła wznieść się do poczucia prawdy, do ogarnięcia wielkich idej i haseł. Należy on do talentów, które nie potrafią przeczuwać, uogólniać, tworzyć, lecz mogą dosyć dobrze opisywać. „Szalone głowy" — tytuł ten budzi rozmaite refleksye i wspomnienia. Przyzwyczailiśmy się pod tą nazwą napotykać opisy ludzi i stosunków, wyłamujących się z pod jarzma szablonu, uświęconych i uznanych form, ludzi, których postępowanie i zapatrywania nie licują z powszechnie przyjętym kodeksem życiowym. W tym razie rzecz się ma inaczej. P. Zagórski nietylko że jest pokojowo usposobiony względem „Głów szalonych," wielbi je nawet i sympatyzuje z niemi głęboko. Bo też nie są to zapaleńcy wcielenia przeciwieństw i rozdźwięków, jakie radzi obficie chwila współczesna, obłąkańcy i maniacy. Przeciwnie, są to istoty średniej miary, iskrzące się i połyskujące, lecz blaskiem zapożyczonym, nie zupełnie zrównoważone, nie zupełnie dostrojone do poziomu towarzyskiego i społecznego swej klasy, o pewnym podkładzie newropatycznego zwyrodnienia arystokratycznego. Ktoby przejrzał zasłonę, okalającą ich duchowość, nie dostrzegłby tam tego zamętu duchowego, jaki cechuje bohaterów Tołstoja i Garborga. Świat uważają oni za arenę popisową, siebie zaś za głównych aktorów i łowców uciech wszelakiego rodzaju. „Szaloną głową" jest Stefan Borowski, młodzieniec pochodzenia arystokratycznego, który strwonił całą fortunę, pustak, lekkoduch. Nie opadły mu skrzydła jednak i nie zawinął on do cichej przystani pracy i obowiązków, lecz dalej buja po szerokim świecie, czerpiąc środki utrzymania z rozmaitych przedsięwzięć hazardowych (np. z trzymania koni i przyjmowania udziału w wyścigach). Ma on może niektóre rysy podobieństwa z Płoszowskim i hr. Augustem, lecz nie posiada ani ich duchowo-artystycznego wykwintu, ani wysubtelnionej wrażliwości, ani z drugiej strony ich refleksyjnego usposobienia i niemocy woli. Jest to natura pobudliwa, wszelkie wrażenie wnet staje się u niego bodźcem do czynu. Oparł całą nadzieję na wygranej swego wyścigowca, lecz zawiódł się, nie długo więc rozważając wybiera się do Ameryki, gdzie w stepach dawni jego znajomi założyli przedsiębiorstwo hodowli koni. Po drodze spotyka uroczą panią Sroczyńską, drugi egzemplarz „Szalonych głów," wielkoświatową kokietkę i lwicę salonową, zapomina o zamierzonej podróży i postanawia udać się wraz z nią do Włoch. Tymczasem awantura pojedynkowa udaremnia ten jego plan i zatrzymuje go w okolicach Wiednia, w leśniczówce, ciężko rannego. Dzięki gorliwemu i pełnemu zaparcia się doglądaniu uroczej Peppi, córki leśniczego, pobyt jego w tem miejscu jest uprzyjemniony. Postać Peppi skreślona jest z wdziękiem i sympatycznie, ale cóż, kiedy bardziej przypomina malowankę, niż żywą kobietę. Zamiast drobiazgowej i starannej obserwacyi, podpatrywania i analizowania wszystkich właściwości natury kobiecej, autor bawi się w lepienie uosobienia prostoty gołębiej, niewinnego i uroczego wdzięku, nieco pierwotnego i prostackiego, potęgi i mocy nieodfinionej pierwszej miłości. Siła zmysłowa bezwiedna, popęd do oddania się miłosnego ukochanemu, zawrotne upojenie kochania — oddane zostało trafnie, ale to jeszcze nie rozstrzyga o prawdzie realnej i wykonaniu artystycznem. Nie przeczę, osoba mało obeznana z bieżącą literaturą, z pewną przyjemnością przejrzy te kartki, ale należy pamiętać, iż takich jest nie wiele, że współczesny ogół czytelniczy znarowiony jest wielością i wieloskładowością wrażeń, iż pożąda on zawsze czegoś świeżego i nieznanego i niełacno zadowoli się odgrzewanemi potrawami. Miłość zarzewiem rozgorzała w duszy Peppi ku Stefanowi; podczas pewnej lirycznej zobopólnej pogadanki, wyznała mu ona swe uczucie, kiedy zaś on je odtrącił w sposób mdły i sentymentalno-kaznodziejski, sprawiło to na niej wrażenie uderzenia gromu i na drugi dzień znaleziono ją w ogrodzie z przestrzeloną piersią. Histeryczne takie rozwiązanie wcale nie zostało usprawiedliwione przez autora. Nie będziemy śledzili dalszego wątku „Szalonych głów," wątek to stary i zużyty, polega na zgubie młodego, szlachetnego, rycerskiego mężczyzny przez awanturnicę wyższego lotu, nowożytną salonową Dyanę. P. Z., chociaż ostatecznie sprowadza zagładę Stefana, nie potrafił jednak pojąć nawet takiej mało złożonej i pospolitej postaci; kreśli on fizyczne i duchowe jego rysy, patrząc nań tylko przez pryzmat zdawkowego krytycyzmu. Jest to jednak duchowy, chociaż daleki krewniak „Płoszowskich." Pogoń za wrażeniami, nieustanna i nienasycona chęć ich zmiany, niemoc w wytknięciu i dążeniu do celu pozytywnego — oto główne i naczelne ich znamiona. Różnica polega na tem, iż Płoszowscy urządzają sobie życie jako sport psychiczny, zasadzający się na refleksyi i doznawaniu złożonych wrażeń i uczuć, „Borowscy" zaś tworzą z życia sport tanich i zawrotnych uciech. Świadome, spokojne dążenie nie jest ich cechą, lecz w pierwszym przypadku trawienie się wewnętrzne i grzebanie drobiazgowe własnych wrażeń i uczuć, a w drugim — wyścig z przeszkodami — oto ich życie. Płoszowski, to wykwintny pesymista-epikurejczyk, zwolennik kwietyzmu, wyłamania się z pod wszelkich pozytywnych obowiązków. Stefan zaś mógłby wykrzyknąć z poetą: „My wierzymy w morze uciechy śród szumnych życia fal." Płoszowscy chcą się wyodrębnić od zgiełku i wiru świata realnego, celem, podług ich mniemania, ku któremu zdążać należy, jest harmonia i piękno. Borowscy nie potrafią świadomie uprawiać kultu rafinowania uczuć, pogoni za wyszukaną delikatnością szczegółów i odcieni. Są oni obaj jednak zarówno pasorzytami społecznymi, jak i duchowymi. Filozofia moralna Płoszowskiego to „egotyzm," jak u dekadenta jego bóg — to niby balon rozdęte „Ja," które stara się wynieść ponad świat i ludzkość. Stefana znamionuje ten sam egotyzm, tylko bezwiedny i mało złożony, ten sam brak pragnień szerszych. Są oni z sobą złączeni węzłem genetycznym, jako przedstawiciele tej samej warstwy i tego samego środowiska społecznego. Płoszowski tylko jest uosobieniem bieżącego momentu i w tem się właśnie przejawił talent Sienkiewicza. Stefan zaś może być cofnięty o dwa nawet po-

kolenia wstecz. Warto, żeby kto na podstawie naszych typów i postaci literackich zobrazował cały łańcuch istot, którego ostatniem ogniwem jest Płoszowski.

Bronisław Chr.....ski.

TEATR.

Szare życie, komedya w 5 aktach, wyróżniona na konkursie *Kuryera warszawskiego*.

Jakim sposobem tę sztukę wyróżniono i zalecono do grania, jest to dla nas zagadka trudna do wytłomaczenia. Czyżby komitet konkursu chciał zrobić niespodziankę i wzbogacić repertuar rzadką... lichotą? Autor obrał przedmiot bardzo poważny i żywotny: poszukiwanie pracy na bruku miejskim przez szlachcica zrujnowanego. Szkoda tylko, że to *szare życie* prawie zupełnie znikło na szarym podkładzie komedyi. Sygietyński w swej powieści „Wysadzony z siodła“ rzecz tę wyzyskał wybornie i traktował ją głęboko. Laureat konkursowy dotknął jej pobieżnie, przelotnie i niezgrabnie; naszkicował zlekka parę figur i porzucił je, ażeby dodać więcej kresek postaciom drugorzędnym, które zatarły niewykończony rysunek na pierwszym planie. Zielski, ów bankrut ziemiański, goni ostatkami w mieście z całą rodziną (żoną, dwiema córkami i synem). Niezdarnemu i naiwnemu szlachcicowi w drodze zabiegów nawija się Łapski, postać podejrzana i wstrętna, zewnętrznie przypominająca z najniższych szczebli pokątnego doradcę. Zdołał on przekonać Zielskiego, że posiada szerokie stosunki i wpływy w zamożnym świecie towarzyskim i że mu łatwo posadę dobrą wyrobi, tylko potrzebne są do tego koszty. Dobroduszny kandydat wierzy najzupełniej wyzyskiwaczowi, oddaje mu ostatki, chodzi z nim na kolacyjki do gabinetów, gdzie również ponosi wydatki na „damy“ z pół-światka, bo przez kobiety można także łatwo dostać posadę. Na te zabiegi środków niema, więc lombard i lichwa przychodzą z pomocą. Tu się rozpoczyna staczanie wyraźne. Głowa rodziny, ojciec i mąż stroskany, musi koniecznie dostać sto rubli dla oszusta, bo od tego zależy otrzymanie posady. Pozostał jeden tylko klejnot, pamiątka jego żony. Wie on dobrze, że z tym przedmiotem niełatwo jej będzie się rozstać, że gdyby poprosił o zastawienie w lombardzie, byłyby spazmy, awantury. Więc się dopuszcza kradzieży i wmawia swemu sumieniu, że to tylko pożyczka. Żona atoli łapie go na gorącym uczynku i „robi scenę,“ w najwyższem natężeniu irytacyi ciska drogą pamiątkę pod nogi, ażeby i tę wyniósł z domu. Tu się zjawia komornik z pisarzem, „łapciuchem,“ w którym naiwny Zielski poznaje swego protektora.

Cóż dalej będzie? Oczekujemy tu prawdziwie szarego życia i pomimo woli przychodzi nam na myśl ostateczny zupełny upadek, zaznaczony w powieści Sygietyńskiego. Autor komedyi uwalnia widza od tej prawdy życiowej i zsyła idealną pomoc wdzięcznego pupila, Zygmunta Mrzanskiego, który młodemu Zielskiemu (robotnikowi w fabryce) wciska w dłoń spory pakiet setek na spłacenie długów ojca i zagospodarowanie się na dzierżawie. Dobroczyńca ten kocha córkę zrujnowanego szlachcica, ale przez nadzwyczajną drażliwość nie chce, ażeby mu uboga rodzina za dobry uczynek płaciła panną; więc usiłuje ogień stłumić ucieczką w Karpaty. Na wyjezdnem atoli przyłapuje go stary przyjaciel Zielskich, Dąbkowski (p. Ostrowski) i po długich korowodach przekonywa szlachetnego młodzieńca, że panna Janina (p. Czakówna) gorąco go kocha. Naturalnie Mrzanski zostaje i żeni się z córką swego niegdyś dobroczyńcy, po to, ażeby *szare życie* zamienić na *różowe*.

Około tej wątłej nici snują się sceny i scenki, tłoczą się, kręcą ludzie i pajace, bez żadnego celu i ładu. Cały akt drugi poświęcony balowi u Dąbkowskich (przyjaciół Zielskich), na którym dwóch idyotów młodzieńców usiłuje w sposób cyrkowy zabawić publiczność — mógłby nie istnieć wcale, z korzyścią dla „sztuki“ i cierpliwych widzów. Wyznania miłosne, jak gdyby przepisane ze starych romansów, zbyt długa i nudna scena poszukiwania klejnotu dla zastawienia w lombardzie i wiele innych pełnych patosu, wreszcie powtarzanie opowiadań — wszystko to znacznie osłabia akcyę i bez tego zbyt wątłą, podtrzymywaną aż przez 21 postaci, których większa część ma znaczenie cieniów chińskich. Lepszem wykończeniem odznaczają się dwa typy, ale tylko oderwanie wzięte: stary, zdziecinniały ojciec Mrzańskiego, wybornie odtworzony przez p. Rapackiego i — wydrwigrosz Łapski. Tę ostatnią postać raczej można spotkać w szynku, karczmie, na jarmarku, w chacie chłopa lub ciemnego mieszczanina, a nie w salonie. Rzecz zyskałaby więcej na prawdopodobieństwie, gdyby autor wprowadził oszusta gładkiego. P. Wolski, świetnie ucharakteryzowany, doskonale odegrał i uwydatnił tę postać brudną. Wogóle uderza nas w ostatnich czasach zwiększona staranność gry i rozwój talentu tego aktora. Chwilami również pełniejszą jest sylwetka Zielskiego i to właśnie uwydatniające ją błyski potrafił wzmocnić p. Leszczyński. Na korzyść reszty artystów to tylko możemy powiedzieć, że się starali w narzuconym obowiązku pokonać niechęć przy odtwarzaniu nikłych postaci.

Zenon Piętkiewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Cholera. — Teatr. — Budżet.— Sprawy gospodarstwa galicyjskiego.

O czem pisać z Krakowa, kiedy nawet już i cholera marnej, martwej mieściny straszyć nie chce? Bakcyle snu, stanowiące główny składnik atmosfery krakowskiej, pochłonęły widać i zarazki choleryczne — na czas śniegów. Prześpi się cholera pod całunem śnieżnym — a na wiosnę zbudzi się, aby zmiatać śpiących. Tak utrzymują lekarze. Nie-lekarze przychylają się do zdania jednego z najdowcipniejszych obywateli naszego miasta: „Kraków jest taką dziurą, że nawet porządnej cholery mieć nie będzie.“

Za to może mieć będzie teatr porządny. Istotnie zewnętrzna strona budynku, chociaż niezupełnie jeszcze wykończona, przedstawia się bardzo ładnie. Zresztą trudno sądzić o szczegółach, póki rusztowania nie są usunięte i przystęp do gmachu nie jest wolny. Należy się spodziewać, że wewnętrznie, tak pod względem artystycznym, jak i technicznym, teatr odpowiadać będzie wszelkim wymaganiom nowoczesnym. Słyszeliśmy nawet, że ze Sztokholmu zażądano dokładnego planu urządzenia scenicznego, które ma być zastosowane w nowym gmachu tamtejszej opery. Obecnie zaprząta umysły sprawa wydzierżawienia tego teatru. Referent komitetu, wybranego z łona komisyi dla wypracowania warunków kontraktu, dr. Faustyn Jakubowski, złożył projekt odnośnej umowy. Teatr ma być wydzierżawiony na lat 6 za roczny czynsz zlr. 1000. Suma ta będzie użyta na utrzymanie zewnętrznej strony gmachu. Projekt repertuaru dzierżawca winien przedstawiać do zatwierdzenia komisyi teatralnej co tydzień; na miesiąc przed rozpoczęciem sezonu winien złożyć listę artystów, których ma zamiar przyjąć i na których komisya może się nie zgodzić, chociażby nawet już po trzech pierwszych przedstawieniach, albo w środku sezonu, gdyby jakiś aktor nie uczył się ról dokładnie lub nie grał starannie. Na garderobę i dekoracye musi dzierżawca łożyć rocznie 2000 zlr.; przechodzą one na własność teatru. Obowiązany jest nabywać rocznie za 1000 zlr. sztuk oryginalnych. Czuwać nad kierownictwem artystycznym będzie komisya teatralna, złożona z członków, wybranych przez radę miejską i delegatów wydziału krajowego. Oto główne punkty projektu. Wprawdzie uznajemy, iż wobec smutnej przeszłości dzierżaw teatralnych, uważanych bądź jako synekury, bądź jako „geszeft,“ pewna kontrola moralna jest potrzebna. Projekt p. Jakubowskiego, jest nie planem kontroli, ale zupełnego ograniczenia dzierżawcy. Jeżeli komisya wybierze takiego, którego imię przedstawia rękojmię, natenczas ograniczenie takie jest zbyteczne; jeżeli zaś powoła osobistość nieodpowiednią, natenczas ograniczenia te nie przyczynią się do podniesienia teatru. Z drugiej strony żaden rutynowany przedsiębiorca-aktor nie zgodzi się na kuratelę, krępującą jego samodzielność i poddającą go szykanom osób, które może o wiele mniej, aniżeli on, znają się na rzeczy. Chętnie notujemy, że p. Stanisław Konopka, były artysta dramatyczny, zakłada w Krakowie szkołę deklamacyi i dramaturgii.

Wszystkie wybitne osobistości Galicyi pospieszyły do Wiednia na sesyę Rady państwa. Minister skarbu, Steinbach, złożył już preliminarz budżetu na r. 1893, z którego okazuje się przewyżka 887,291 zlr. Mimo optymistycznych zapewnień ministra — trwamy w pesymizmie; drobniuchna ta w stosunku do kolosalnego obrotu rocznego (610 milionów) przewyżka, która stała się modą wszystkich „exposé“ od ery Dunajewskiego, jest tylko rakietą, mającą służyć do chwilowego oświetlenia dziur niedoboru. W ciągu roku bowiem okaże się z pewnością potrzeba kredytów dodatkowych. Nadmienić winniśmy, że wydatki nadzwyczajne, dziś już zwyczajne, i w tym roku znacznie wzrosły.

Na horyzoncie gospodarstwa galicyjskiego widzimy blady świt lepszych czasów. Popierwsze, konwersya długów państwowych, po której z biegiem czasu spodziewać się można pewnych ulg w ciężarach i pewnych sum, potrzebnych do najkonieczniejszych wkładów. Powtóre, wydział krajowy uzyskał monopol sprzedaży soli w Galicyi, co niewątpliwie wpłynie korzystnie na stosunki rolnicze i hodowlę bydła. Potrzecie, wydział krajowy czyni starania, ażeby w drodze ustawodawczej wyjednać uwolnienie rafineryj i kopalń nafcianych od podatku zarobkowego i dochodowego na ten sam przeciąg lat, na jaki z ulgi tej korzysta fabryka tryestenska. Ulgi owe przyznane zostały ustawą z 8 stycznia 1891 r. tym przedsiębiorstwom, któreby powstały w Tryeście w czasie od 1 lipca 1891 r. do 31 grudnia 1895 r. pod tym warunkiem, że wytwarzać będą przedmioty dotychczas wcale niewyrabiane, lub też wyrabiane w nieodpowiedniej dla potrzeb kraju ilości i że nadto zaprowadzenie tych przedsiębiorstw uznane będzie wogóle za pożądane dla gospodarstwa społecznego. Odnośna uchwała sejmowa zapadnie prawdopodobnie podczas sesyi wiosennej. Poczwarte, wydział krajowy rozpatruje obecnie i zamierza wypracować projekt organizacyi okręgów, obejmujących kilka gmin wiejskich i kilka obszarów dworskich. Celem takiego ustroju, któryby opierał się na myśli połączenia obszarów dworskich z gminami, jest należyte sprawowanie nadzoru przez policyę miejscową. Myśl ta pochodzi od posła

Potoczka. Wniosek jego został w swoim czasie przekazany komisyi gminnej, ta zaś w sprawozdaniu swojem zaznaczyła, że utrzymanie instytucyi obszarów dworskich w r. 1866 (z tego okresu pochodzi ustawa gminna galicyjska) było koniecznością; konieczność ta może jednak ustać, jeżeli oświata o tyle się podniosła, iżby gmina wartość inteligencyi ocenić umiała i wskutek tego chciała i potrafiła zużytkować rady właściciela obszaru dworskiego, który do jej związku zostałby przyłączony. Komisya nie miała dostatecznych podstaw do osądzenia, czy stosunki o tyle się już zmieniły, ażeby powyższą reorganizacyę przedsiewziąć i czy wniosek Potoczka jest wyrazem życzeń ludności wiejskiej. Wyraziła tedy zdanie, że gdyby na teraz wcielenie obszarów dworskich do gminy okazało się nieodpowiedniem, natenczas należałoby przejściowo stworzyć organizmy, obejmujące po kilka gmin obecnych i po kilka obszarów dworskich. Te ostatnie ponosiłyby względnie równe ciężary z gminami, nie tracąc jednak indywidualności publicznej. Zdaje się, że projektowana przez wydział krajowy reorganizacya jest wyrazem tego zdania.

Ferropar.

KOLEJE POMOCNICZE.

Europa cała, najbardziej zaś te kraje, w których silnie jest rozwinięty ruch przemysłowo-handlowy, posługują się gęstą siecią linii wązkotorowych, czyli tak zwanych gospodarczych, miejscowych, albo jeszcze — dojazdowych. Nazywamy je *pomocniczemi*, gdyż określenie to, zdaniem naszem, najbardziej wyjaśnia ich cel i znaczenie. „Kolej lokalna — mówi prof. Roman Gostkowski *) — jest niejako własnością każdego z nas, staje ona bowiem przed domem naszym, żeby nam przywieźć gości, zabrać zboże na targ przeznaczone; ona składa zakupiony towar przed naszym progiem... Jest owem ogniwem, które łączyć ma furmankę na drodze z przewozem na kolejach zwyczajnych — ogniwem, koniecznem w całości życia nowoczesnego. Jest ona ruchliwą, dbałą o nasze potrzeby, stosuje się do zwyczaju mieszkańców, jest wygodnie urządzoną, gotową zawsze na zawołanie. Kolej taka służy nam wybornie, całem jej zadaniem jest bowiem niesienie usług mieszkańcom tej okolicy, przez którą przechodzi." Co ważniejsza — budowa takiej kolei wązkotorowej dwa razy nawet i więcej jest tańszą aniżeli przeprowadzenie zwykłej drogi, służącej dla połączenia odległych krańców handlowo-przemysłowych tudzież dla komunikacyi międzynarodowej. Państwa zachodnie od dawna zrozumiały znaczenie dróg pomocniczych i zastosowały je z bardzo pomyślnym rezultatem. W Belgii istnieje „Towarzystwo narodowe miejscowych kolei żelaznych," które według jednolitych planów buduje liczne wązkotorowe. Ogólna długość tych dróg (tor ma szerokości około metra) wynosiła w końcu roku zeszłego 905 wiorst. W Holandyi długość tych linii wraz z drogami tramwajów parowych obliczono (r. 1890) na 500 wiorst. Niemcy (r. 1890) miały ich około 870 wiorst. W Saksonii oprócz wązkotorowych (o szerokości zaledwie 75 centymetrów) istnieją także szerokotorowe drogi pomocnicze. W Szwecyi z ogólnej liczby 7,400 wiorst kolei, 1500 zajmują linie wązkotorowe. W Norwegii na 1,600 wiorst wogóle 1,000 przypada na linie wązkotorowe. Uznano bowiem w okolicach górskich za najodpowiedniejsze drogi z wązkim torem, a więc i w Szwajcaryi rozpowszechniają się one coraz bardziej. Widzimy, iż państwa nawet zajmujące niewielkie obszary, jak Holandya, Belgia, Dania, chętnie posługują się liniami pomocniczemi. W tym ostatnim kraju istnieje droga służąca wyłącznie dla przewozu ryb. W Anglii a szczególnie w Irlandyi, sieć wązkotorowa najmniej jest rozpowszechniona. W Austryi rząd przez długi czas był przeciwny budowie takich linii. W ostatnich jednak czasach i tam specyalne prawo otworzyło szersze pole do działania, z czego najpochopniej Galicya chce skorzystać. Podczas obrad specyalnej ankiety w lipcu odbyły się w tym przedmiocie obrady, na których ułożono plan budowy około *dziewięćdziesięciu* rozgałęzień kolei pomocniczych. Z wymienionych stu kilkudziesięciu punktów połączeń widzimy, iż gęsta sieć przetnie w różnych kierunkach cały kraj i połączy wzajemnie najważniejsze miejscowości pograniczne.

U nas dotychczas koleje wązkotorowe posiadają tylko niektóre zakłady fabryczne. Wogóle zaś zarówno Królestwo Polskie, jak i szerokie obszary Cesarstwa cierpią bardzo skutkiem słabych środków komunikacyjnych. Furgon, bałaguła, bryka pocztowa przewożą podróżnych i towary jeszcze na znacznych przestrzeniach, nie tylko z braku kolei żelaznych, ale z powodu taryf wygórowanych, dzięki czemu wychudzone chabety, jako siła przewozowa, dzielnie współzawodniczą z parą. Są dotychczas miejscowości w prowincyach bardziej kulturalnych odległe o kilkadziesiąt wiorst od kolei żelaznych, z guberniach zaś mało zaludnionych i przerzniętych bardzo rzadką siecią dróg żelaznych są odległe nawet o *kilkaset wiorst* od punktu komunikacyi parowej. Np. w Królestwie Polskiem Tomaszów 82 wiorsty od Rejowca, stacyi drogi Nadwiślańskiej, Sieradz 69 od Piotrkowa, jako najbliższej stacyi, Suwałki — o 67 od Grajewa, stacyi dróg Południowo-Zachodnich, Wieluń o 64 od Częstochowy Sandomierz — 45 wiorst od Ostrowca, kolei Dąbrowskiej. W Cesarstwie: Ałatyr — o 302 wiorsty od Penzy, Aleksandrów — o 232 w. od Michajłowa, stacyi kolei Zakaukazkiej, Astrachan o 405 wiorst od Carycyna, najbliższej stacyi kol. Grazio-Carycyńskiej, Owrucz o 98 od Mozyra, stacyi kolei Poleskich, Słuck o 77 wiorst od Lachowicz, stacyi tychże kolei itd. Są to tylko główniejsze punkty; podrzędniejszych kątów zapadłych, gdzie ludzie rodzą się i umierają nie widząc kolei żelaznej, moglibyśmy setki wyliczyć. W Królestwie są dotychczas miasta gubernialne, nie połączone koleją. Może się taki stan rzeczy zmieni, gdy wpływ rozszerzy zawiązane obecnie na wzór belgijskiego „Pierwsze Towarzystwo kolei podjazdowych," którego założycielem jest inżenier Jałowiecki, uczestnikami zaś oprócz kierownika są między innymi pp. S. Kossuth, Struve i Titow. Oto jest zatwierdzona przez władzę osnowa programu tego olbrzymiego przedsiębiorstwa. Towarzystwo będzie budować i eksploatować linie wszelkiego systemu, drugo i trzeciorzędne i drogi wybudowane na własny rachunek oddawać w dzierżawę. Każdemu, kto zamierzy budować drogę, na żądanie przysyłać będzie doświadczonych techników dla zbadania warunków miejscowych i ułożenia toru. W program działalności wchodzą nietylko studya, lecz dostarczanie odpowiednich materyałów dla drogi zaprojektowanej, w razie zaś potrzeby Towarzystwo bierze na własny rachunek roboty osób interesowanych. Wogóle zadaniem stowarzyszenia jest urządzanie zakładów przemysłowych oraz składów dla wyrobu i sprzedaży wszelkich przedmiotów kolejowych i taboru ruchomego dla linii stałych i przenośnych. Dalej: urządzanie doków, warsztatów okrętowych, budowa okrętów, parostatków, lokomotyw, wagonów, przystani, przyrządów mechanicznych do naładowywania i wyładowywania towarów itd. Dla uczynienia dogodności kupcom i przedsiębiorcom, Towarzystwo wchodzić będzie w układy z kolejami żelaznemi i przedsiębiorstwami żeglugi parowej, zajmie się dostawą towarów do miast, wsi, fabryk i zakładów przemysłowych, położonych w pobliżu dróg pomocniczych, eksploatowanych przez spółkę. Nadto, zastrzega ono sobie jeszcze szersze przywileje: prawo wywłaszczeń, bezpłatnego otrzymywania gruntów rządowych w pewnych wypadkach i darmnego korzystania z materyałów budowlanych na gruntach rządowych. Dla zebrania kapitału zakładowego w rozmiarach trzech milionów rubli, Towarzystwo wypuszcza niegwarantowane przez rząd dziesięć tysięcy akcyi sturublowych na milion rubli, tudzież obligacyi na dwa miliony. Na początek spółka nie będzie urządzała własnych fabryk, lecz wejdzie w układy z istniejącemi.

Program ten daje pojęcie o olbrzymiem zadaniu Towarzystwa. Przed niem leży odłogiem przestrzeń, na której trzeba zbudować w całem państwie około czterdziestu tysięcy wiorst niezbędnych kolei pomocniczych i wogóle drugorzędnych. Według ułożonego już planu najpierw będzie zbudowana sieć z 18-tu linii następujących: 1) Możejki-Telsze-Kiejdany, Święciany, Głębokie i Orsza; 2) Telsze-Połąga; 3) Rosienie-Maryampol-Kalwarya-Suwałki-Łomża; 4) Wilno-Malsty-Słomianiczki-Mitawa; 5) Borkowicze-Głębokie-Dokszyce-Wołożyn-Grodno; 6) Wilno-Troki-Birsztany-Maryampol; 7) Suwałki-Sejny-Grodno-Prużany; 8) Orsza-Mohylów-Rohaczów-Domanowicze-Żytomierz-Berdyczów; 9) Mohylów-Mścisław-Smoleńsk; 10) Smoleńsk-Porzecze-Wielkie Łuki-Ostrów; 11) Sienno-Witebsk-Newel-Wielkie Łuki; 12) Newel-Siebierz-Łucyn-Rzeżyca; 13) Wielkie Łuki-Toropiec-Chełm-Stara Rusa; 14) Hoduciszki-Postawy; 15) Daniłowicze-Głębokie; 16) Landwarowo-Troki-Birsztany-Olita; 17) Słobódka-Oszmiana-Holszany-Troki-Nowogródek; 18) Smorgonie-Miadzioł-Głębokie.

Jak widzimy, są tu objęte przestrzenie rozległe, olbrzymie niziny błotnisto-leśne, od płasko-wzgórza Ponarskiego do krańców Białej rusi daleko wzdłuż Dniepru górnego, tudzież najbardziej typowe Polesie wołyńskie i mińskie (bobrujskie, rzeczyckie, mozyrskie, pińskie, owruckie). Taka linia, jak: Orsza-Mohylów-Rohaczów-Domanowicze-Żytomierz-Berdyczów, to już nie skromna kolejka dojazdowa, lecz arterya kilkuset wiorstowa, przerzynająca znaczną przestrzeń Białorusi, Polesie i docierająca aż do Ukrainy kijowskiej. Tak samo inne linie będą również bardzo długie, jak: Mohylewsko-Smoleńska, Wileńsko-Mitawska, Wileńsko-Maryampolska itd. Liniom wązkotorowym można wróżyć szybki rozrost, głównie z powodu taniości budowy. Przeciętnie koszt jednej wiorsty wyniesie 11—12,000 rs. Znaczne oszczędności dadzą się również osiągnąć przy eksploatacyi kolei. Drogi dojazdowe przenośne, systemu Dahlberga lub Jałowieckiego, wszędzie dadzą się budować nadzwyczaj łatwo i szybko *).

Powstanie zatem pierwszego Towarzystwa dróg dojazdowych jest faktem wielce doniosłym dla całego ogółu, zarówno wytwórców, jak i spożywców. Koleje pomocnicze oddadzą nieocenione usługi właścicielom rud i pokładów mineralnych tudzież tej wielkiej liczbie posiadaczów ziemskich, których majętności odległe są od kolei. Kto rozumie, co znaczy dostawa terminowa i tania produktów rolnych, ile jest kłopotów i zawodów przy najmie furmanek, ten może ocenić olbrzymią wartość usług kolei

*) „O potrzebie kolei gospodarczych."

*) Systemowi dróg wązkotorowych robione są zarzuty, iż zmuszają one do kłopotliwego przeładowywania, gdy towar musi iść dalej po linii szerokotorowej. Otóż tę niedogodność we Francyi usunięto w ostatnich czasach. Na liniach główniejszych wewnątrz toru szerokiego położono wązki, po którym mogą iść wagony z linii wązkotorowych wraz z innymi.

„gospodarskich.“ Okazuje się atoli, iż nie wszyscy, nawet bezpośrednio interesowani, zdołali w tej mierze zrozumieć własny interes. Oto przykład znamienny: Towarzystwo przystaje na budowę linii z Kalisza do Łodzi, z warunkiem, iżby kapitaliści miejscowi wzięli za 200,000 rs. akcyi i za 300,000 obligacyi. Zgadzają się oni w zasadzie na ów warunek, ale z tem, iżby złożona przez nich suma miała wyłączne przeznaczenie na budowę drogi Kalisko-Łódzkiej. Rzecz dziwna, iż ludzie, obdarzeni zmysłem spekulacyjnym, nie mogą pojąć zadań przedsiębiorstwa o szerszym zakresie i tym sposobem, nie przynosząc sobie żadnej korzyści, krępują rozwój Towarzystwa, którego przecież jaknajrozleglejsze zagospodarowanie się nie tylko wzmocni ogólną dzielność wytwórczo-handlową, ale zatrudni tysiące robotników i setki fachowców inteligentnych.

Drog.

PAMIĘTNIK.

Na przyszłość.

Mędrkowanie, wszędzie znajdujące dziurę, przez którą przesuwa swoje założenia, może powiedzieć, że tegoroczny zarazek cholery był słabszy od poprzednich, wyczerpany z sił, łagodny itd. i dla tego zabrał stosunkowo mniejszą liczbę ofiar. Ale trzeźwa i na faktach oparta obserwacya zdaje się nie pozostawiać żadnej wątpliwości, że ten dodatni wynik zawdzięczamy z jednej strony odkryciom bakteryologii, z drugiej przedsięwziętym przy jej świetle środkom zapobiegawczym i poprawie warunków sanitarnych w większych skupinach ludzkich. Jeżeli np. epidemia zaledwie dotknęła półmilionową Warszawę, winniśmy to niezawodnie nadzwyczajnemu stosunkowo oczyszczeniu miasta, które może nigdy nie było wymyte, uprzątnięte i zaopatrzone w dobrą wodę. Otrzymawszy tak znakomity rezultat, p. oberpolicmajster zwraca się słusznie do mieszkańców z odezwą i zachętą, ażeby postarali się utrzymać nadal tę czystość, chociażby zaraza wygasła. Niepodobna nie zalecić tej rady uwadze i staraniom ogółu. Pomijając bowiem nawet tę, zresztą dość ważną okoliczność, że cholera nie ustąpiła jeszcze ani z Europy, ani z naszego kraju i może w nim przezimować, wzgląd na zdrowie i życie zagrożone ze strony innych chorób skutkiem niechlujstwa i brudów powinien być tu dostateczną pobudką. Miarą stopnia cywilizacyi narodu — powiedział Buckle — jest ilość zużywanego przezeń mydła. Zapewne, możnaby również za taką miarę uznać coś innego — zegary lub książki — ale że jest nią również czystość, tego dowodzić nie trzeba. Wszystkie wielkie narody są czyste, a wszystkie słabe lub upadające — brudne. Najbrudniejsze miasto w Niemczech, Hamburg, miało też najzłośliwszą cholerę. A na co jego senat wydał kilka milionów marek, zwalczając epidemię? Czy na leki, których żaden nie pomagał? Przedewszystkiem na usunięcie brudów i gniazd bakteryj. Dopiero tą drogą udało mu się pokonać wroga i sprawdzić śmiertelność z kilkuset do kilkunastu a wreszcie do kilku osób dziennie.

Ale nie łudźmy się. Czystość jest przymiotem rasy, a w każdym razie owocem długowiekowej kultury. Jeżeli prości żydzi holenderscy śród niepokalanej prawie schludności swego otoczenia są tak nieporządni, jak u nas, gdzie nie mają równego przykładu i nacisku, jeżeli polacy, sąsiadujący z koloniami niemieckiemi, nie mogą — że tak powiem — zarazić się od nich czystością, to trudno przypuszczać, ażebyśmy z roku na rok zmienili swoją naturę i stali się holendrami lub niemcami, zwłaszcza gdy niebezpieczeństwo epidemii ustąpi, a czujność władz sanitarnych zwolnieje. Nie odurzając się wszakże zwodnemi nadziejami, powinniśmy raz zacząć pracować w tym kierunku, szczepić i rozwijać w sobie wielką cnotę ochędostwa, która może dojrzeje kiedyś w przyszłości. Jest to szczególnie godnem usiłowań w tak olbrzymiem zbiorowisku ludzkiem, jak Warszawa, która posiada odpowiednie doświadczenie i wielkie ku temu środki. *W.*

Ciekawe odkrycia.

Gdyby ktoś chciał ogłosić kwestyonaryusz na temat: „w jakich warunkach społecznych u nas najbardziej jest rozwinięta spekulacya i oszczędność,“ to niewątpliwie znaczna część szematów dałaby się wypełnić szczegółami, zaczerpniętymi z rezultatów rewizyj sanitarnych, dokonywanych w kamienicach. Jużeśmy przywykli do ciągłych raportów policyjnych, donoszących o niechlujstwie, brudach na podwórzach i schodach, o zrujnowanych lokalach, niezdatnych na mieszkania dla ludzi. Dowiedzieliśmy się także o istnieniu domu zamieszkałego przez 300 osób, a nieposiadającego wcale klozetu; ale nie przypuszczaliśmy dotąd, ażeby istniał dom, *oświetlany na koszt stróża.* Możnaby to wziąć za bajkę, gdyby nie sprawozdanie urzędowe, donoszące o istnieniu takiej kamienicy na ul. Marszałkowskiej pod nr. 58. Co owego stróża zmusza do takiej gorliwości w usługach dla swego pracodawcy — łatwo się domyśleć. Prawdopodobnie właściciel dał mu miejsce z warunkiem, iżby o światło sam się troszczył. To też nie dziwnego, że znaleziono schody „źle oświetlone“ i zalecono, ażeby nadal były lampy z reflektorami, na co, rzecz prosta, stróż nie poniesie już wydatków z własnej kieszeni, a przytem dostanie lepsze pomieszczenie, gdyż to, w którem dotąd przebywał, zalecono „wyłączyć z kategoryi lokalów.“ Rezultaty rewizyj zdrowotnych w kamienicach błogosławić będą lokatorowie i stróże, a panowie „obywatele miasta“ pod naciskiem administracyjnym (który już się utrwali w tym zakresie) nauczą się po *obywatelsku* traktować zdrowie, bezpieczeństwo i... kieszenie publiczne.

W sprawie nasion.

W przyszłym tygodniu Muzeum przemysłu i rolnictwa otworzy swe podwoje dla ciekawych obejrzenia wystawy nasion. Nie wiemy, co tam zobaczymy, ale już dziś nastręcza się kilka uwag. Na wystawie poprzedniej widzieliśmy rozmaite cuda — np. żyta dające 24 i 30 ziarn plonu itp. Naturalnie, cóż byłoby prostszego i korzystniejszego dla rolników, jak nabyć bodaj za najwyższą cenę takie nasiona? Ale przed każdym z nich stanęło pytanie: jeżeli nawet wydajność podana została rzetelnie, należałoby wiedzieć, w jakich warunkach kultury (gatunku ziemi, siły nawozowej itd.) ją osiągnięto? Bo co innego siać w inspekcie albo na zagonie mocno umierzwionym, a co innego na zwykłej roli. Z tego panowie wystawcy nie powinni robić tajemnicy, lecz szczerze i wyraźnie objaśniać, jakim sposobem i z jakiego gruntu pochodzą ich ziarna. O tem jednak katalog i kartki przyczepione do okazów milczały. Czy milczeć będą również i obecnie? Według nas, jeżeli wystawa nie ma być polem dla blagi i reklamy przyciągającej producentom łatwowiernych nabywców, lecz wiernym i pouczającym obrazem kultury rolnej, w jej okazach i deklaracyach musi być przestrzegana największa ścisłość, sumienność i wiarogodność. Wtedy dopiero odda ona istotne usługi krajowi, wtedy nie będzie „łapania się na wędki,“ wtedy najlepsze odmiany i gatunki nasion rozpowszechnią się szybko.

W związku z tą sprawą pozostaje inna. Jak wiadomo interesowanym, istnieje — poprzednio w Warszawie przy Muzeum rolnictwa i przemysłu, a obecnie w Sobieszynie — stacya oceny nasion, wykazująca za odpowiednią opłatą ich czystość i siłę kiełkowania. Kierownik tej pracowni p. Sempołowski w rocznych swych sprawozdaniach i artykułach narzeka stale na obojętność i nierozumienie własnego dobra ze strony rolników, którzy, żałując trudu i niewielkiego wydatku, nie zwracają się do stacyi i nieraz zanieczyszczają sobie pola szkodliwymi chwastami. Otóż przyznając całą użyteczność ścisłej oceny nasion, sądzimy jednocześnie, że p. S. wymaga za wiele. Czy podobna bowiem żądać od chłopa, dzierżawcy, właściciela fermy, ażeby ten kupiwszy np. kilka garncy koniczyny, posyłał z niej próbę do Sobieszyna, ponosił koszty przesyłki i badania, tracił czas, którego ma mało i pieniądze, których ma jeszcze mniej? Przypuśćmy zresztą, że mu nie brak pierwszego i drugich; co zrobi, odebrawszy odpowiedź, że nabyta koniczyna albo słabo kiełkuje, albo jest zanieczyszczona kanianką? Naturalnie, musi wyrzucić cały jej zapas na śmiecie, bo skład sprzedający napowrót jej nie przyjmie. Owa tedy stacya jest zbyt kłopotliwa i kosztowna, a nadto nie zabezpiecza wcale od złego towaru. Jak koniczyna zawiera kaniankę, tak chinina, kawa, herbata, masło, słowem wszelkie artykuły spożywcze lub lecznicze bywają fałszowane — a jednakże z każdym proszkiem chininy i z każdym funtem masła nie zwracamy się o analizę do pracowni chemicznej. Staramy się tylko nabywać wszelkie produkty z rąk i miejsc pewnych. Otóż taka sama tylko rękojmia pozostaje rolnikom. A więc nie każdy z nich powinien się uciekać do stacyi oceny nasion, bo to jest niemożliwością, lecz producenci i hurtownicy, dbali o pewność i dobroć swego towaru, powinni sprzedawać jedynie naukowo i doświadczalnie skontrolowany. Niech takie sklepy, zakłady, firmy, poręczające czystość i siłę kiełkowania nasion istnieją a uchronią ziemian od zawodów, strat i klęsk gospodarczych. Niestety, jak widać ze sprawozdań p. Sempołowskiego korzystają one ze stacyi rzadko i w bardzo ograniczonej mierze. W tem tkwi źródło złego. *M.*

Cukrownia kujawska.

Od lat kilku pokutuje w głowach ludz przedsiębiorczych myśl założenia na Kujawach akcyjnej cukrowni, któraby tamtejszym ziemianom otworzyła pole do uprawy i zbytu buraków. Ponieważ wszakże jesteśmy tylko „skorzy do tańca i różańca,“ a ten projekt wymagał: 1) zbiorowej narady, 2) ścisłego rozważenia i 3) pieniędzy, więc przewlóczył się z roku na rok. Wreszcie udało się furmanom wozu, z którego koła spadały albo konie ciągnęły go w przeciwne strony, złożyć w całość niezbędne jego części. Na początku b. m. odbyło się w Włocławku zebranie przyszłych uczestników słodkiego interesu. Po długich i ciągle na manowce zbaczających mowach postanowiono wreszcie założyć cukrownię (z kapitałem 500,000 rs.) w Falborku pod Brześciem. Ale ponieważ u nas każde przedsiębiorstwo przemysłowe w przeciwieństwie do ludzi, którzy rodzą się nago a potem wdziewają odzież, rodzi się w płaszczyku filantropii, a dopiero później rozbiera się do naga, więc uchwalono, ażeby ową cukrownię oprzeć głównie na udziałach drobnych, do których mieli być powołani nawet włościanie. Gdy jednakże przyszło do zapisów na akcye, „śród zgromadzonych — jak opiewa *Kuryer warszawski* — zapanowała cisza.“ Przerwał ją p. Wisbek z Łodzi, który zadeklarował 100,000 rs., dalej p. Przeworski z Warszawy „dorzucił“ 250,000 rs. itd., jacyś „włościanie“ zdobyli się na 7,000 rs. Żeby wszakże ostatnich przyciągnąć liczniej, zostawiono przez miesiąc listę otwartą i zobowiązano się zmniejszyć większe wkłady na ich korzyść. Po co ta komedya! Gdyby nawet ci „włościanie“

złożyli jeszcze drugie tyle, czemże oni będą ze swemi 14,000 rs. wobec pp. Wisbeków, Przeworskich itp.? Kiełbikami wobec szczupaków, które mogą je połknąć, skoro tylko zechcą. Bo przecie konstytucya takich przedsiębiorstw waży głosy nie osób, lecz udziałów: jak więc zagrają tysiące rubli, tak tańczyć muszą setki. Zobaczymy to może w jednej z komedyj przyszłego konkursu *Kuryera warszawskiego*... *P.*

Niezużytkowany materyał.

W sądach odzwierciedla się wielostronnie życie społeczne; bo ile jest w niem stosunków, powikłań, starć, złych i dobrych sprężyn, tyle ich tam ujawnia się. Co to za ciekawy i barwny kalejdoskop, jakie mnóstwo wydobywa on na wierzch tajemnic i prawd, jak doskonale nieraz oświetla zbiorowisko ludzkie, jak dowodnie prostuje omyłki i rozwiewa złudzenia! Jest to wprost objawem zadziwiającym, że pomiędzy naszymi prawnikami, którzy często zajmować się muszą głównie oczekiwaniem na nieprzychodzących klientów, nie znalazł się dotąd ani jeden zdolny pisarz, któryby bogaty materyał sądowy zużytkowywał w publicystyce. Przecież jego artykuły byłyby rozchwytywane. Sami nakłanialiśmy wielu do takiej pracy — żaden nie chciał, czy nie umiał jej podjąć. Właściwie też cały ów szeroki potok błota i łez, cnót i występków, niegodziwości i krzywd przepływa krytym kanałem po za naszą wiedzą. Co najwyżej dzienniki wyławiają z niego t. zw. sprawy głośne — głośne czem? Albo nazwiskami procesujących się stron, albo wysokością sum spornych, albo wreszcie niczem. Ponieważ tu w wyborze nie ma ani żadnej zasady, ani planu, ani ścisłej czujności, ani myśli przewodniej, więc często na szpaltach pism występuje sprawa dzięki temu tylko, że w niej bierze udział adwokat, będący ich współpracownikiem. Niejeden spór rozstrzygnięty w sądzie pokoju ma daleko większe znaczenie społeczne i charakterystyczniejsze znamiona, niż długie i powikłane zatargi lub zbrodnie w wyższych instancyach. Przez cały tydzień ubiegły gazety drukowały obszerne sprawozdania z procesów o kontrabandę i podstępne bankructwo — do pewnego stopnia w osnowie swej znanych publiczności i nieprzedstawiających nic szczególnego, zwłaszcza że to, co w nich zasługiwało na uwydatnienie, mianowicie głęboko ukryte ciernie i korzonki oszustw handlowych zaledwie zaznaczono ogólnikami. I dlaczego te właśnie procesy rozdęto i zwyczajnych szachrajów rozsławiono — nie pojmujemy. Niedługo stanie przed sądem Brzezicka, która z pewnością wypełniać będzie kolumny naszych pism przez całe lata, ale tu przynajmniej, jak słychać, materyał dowodowy ma być olbrzymi, nieznany i daleko wykraczający po za granice prostego zabójstwa. Czy jednakże jakiś prawnik-publicysta, badacz i krytyk obyczajów społecznych z niego skorzysta? Wątpimy. Przesuną go tylko surowym w prasie niezdarne ręce reporterów. *O.*

W imieniu potomnych.

W rozmaitych „Towarzystwach" warszawskich członkowie bawią się w t. zw. „sekretarza," będącego rodzajem konkursu odpowiedzi (jednej dowcipnej i jednej poważnej) na zadane pytania. Przeciw tej rozrywce, lepszej od wielu innych, nic nie mamy; radzimy tylko jej uczestnikom, ażeby zaprzestali ogłaszać w prasie nawet odznaczonych zdań i wierszyków, w których zwykle niema ani kropli dowcipu, a powaga ogranicza się do surowej miny rozwiązujących zagadki autorów. Prawda, że grono znawców literatury wyróżniło i zaleciło do grania taką lichotę, jak *Szare życie*, a kiedyś p. Kozłowskiego za *Alberta wójta* „w ciągu jednej nocy — jak wówczas wołano — uczyniło sławnym," po co jednak naśladować złe przykłady i omyłki nawet areopagu? Daleko będzie lepiej i właściwiej ukryć w archiwach klubowych „dowcipne i poważne" odpowiedzi laureatów, za co, jeżeli nie oni, to ich rozumni potomkowie będą bardzo wdzięczni. Bo czyż dla ostatnich przyjemnem będzie wspomnienie, że ich przodek na konkursie z zadaniem: „dlaczego ludzie unikają głębokiej wody?" — otrzymał pierwszą pochwałę za odpowiedź poważną: „bo w głębokiej wodzie można się utopić" lub dowcipną: „bo muszą się jej napić więcej, niż pragną."

SPRAWY EKONOMICZNE.

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

IV.

Przewrót, wywołany w technice rolnej. — Rutyna dawna musi ustąpić miejsca inżeneryi rolnej. — Laboratorya hodowlane i rolne. — Organizacye ich w Związku północno-amerykańskim. — Sposoby upowszechniania wiadomości rolnych. — Instytuty fermerskie. — Wymaganie postępu rolnego i agronomowie gminni.

Nowoczesny rozwój społeczny, stwarzając z jednej strony olbrzymie siedliska ludności, z drugiej znowu powołując do życia tak zwane okręgi przemysłowe, w których większa część mieszkańców porzuciła pracę rolną i znalazła zatrudnienie w produkcyi przerabiającej — musiał wywołać dalsze następstwa. Przedewszystkiem środki komunikacyjne rozwinęły się o tyle, ażeby umożliwić stały a prędki dowóz produktów rolnych do ognisk przemysłowych; następnie sama organizacya handlu zbożowego, mięsnego itd. musiała również uledz poważnym zmianom. Atoli na teraz idzie nam o inne skutki. Kiedyś, jeszcze przed kilku wiekami, rozmiary ludności, względne i bezwzględne, wymagającej dowozu produktów spożywczych, były bardzo nieznaczne. Nawet w średnich miastach ówczesnych rzemieślnik posiadał parę zagonów, niekiedy trzymał krowę, hodował drób. Przewyżka krajowego produktu rolnego nad spożyciem bezpośredniem ludności rolnej mogła być bardzo mała, a wystarczała na potrzeby całego kraju. Doba dzisiejsza bezpowrotnie zniszczyła tę prostotę stosunków. Sama ludność stanowi w miastach, posiadających więcej nad 100 tysięcy mieszkańców, we Francyi z górą 10% ogółu, a gdzieindziej, jak w Anglii i w koloniach, cyfra ta jest jeszcze większa. A jednak do niej zgoła jeszcze nie włączono miasteczek, oraz całej ludności przemysłowej prowincyonalnej, Całe te rzesze, tak znaczne procentowo w porównaniu z przeszłością, żyją z produktów rolnych, dobywanych z ziemi i hodowli. Przewyżka zatem owych produktów nad potrzebami ludności wiejskiej musi być bardzo znaczna, a zatem praca rolnika — stać się o wiele bardziej wytwórczą, tj. z tego samego kawałka gruntu i w tym samym przeciągu czasu dobywać więcej plonu. To też wraz z rozrostem miast i środków komunikacyjnych istotna rewolucya techniczna wkracza do produkcyi rolnej. Jeszcze w początkach obecnego stulecia gdybyśmy z grobów wskrzesili barbarzyńców, którzy w wieku X—XII swojemi narzędziami pierwotnemi uprawiali ziemię na przestrzeni Europy dzisiejszej i oprowadzili ich po ówczesnem gospodarstwie rolnem, ani jeden z pośród nich nie dostrzegłby jakiejś różnicy poważniejszej w technice samej. Tymczasem kilka ostatnich dziesięcioleci stworzyły przewrót istotny, na jaki nie zdobyły się całe tyciącolecia. Rolnictwo, z zajęcia rutynicznego, jakie rodzina szlachecka pozostawiała jedynie dla najgłupszego z synów swoich, coraz bardziej staje się zootechniką — inżynieryą hodowlaną, wymagającą szerokiej wiedzy przyrodniczej. A przewrót ten dotyczy i narzędzi i jakości plonu. Postępem w zakresie pierwszych zajmować się nie będziemy, a uwagę naszą skierujemy głównie na drugi.

Przeszłość pozostawiła po sobie różne rasy bydła i gatunki zboża, które jednak noszą na sobie znamię starej rutyny. Są one zawsze terytoryalne, jak wskazują nazwy: krowy holenderskie, pszenica sandomierska itd. W pewnej okolicy, dzięki warunkom sprzyjającym, powstawała pewna odmiana i całe wieki nie wykraczała po za ciasne szranki swojej ojczyzny. Stulecie XIX dopiero wyprowadziło ją z tego miejsca, rozszerzając po dalszych okolicach i przyczepiając nazwę świadczącą o pochodzeniu. Chwila obecna wytwarza odmiany dalsze, w sposób celowy na podstawie wskazówek zootechniki. W zakresie kur wytwarza ona rasy mięsne i nieśne; wśród bydła — mleczne, mięsne, juczne itd. Początkowo eksperymentowano na drodze wysiłków prywatnych. Ten i ów sprowadził jakieś okazy wyjątkowe, czynił próby, które nieraz przepłacał suto w porównaniu z otrzymywanemi korzyściami. Atoli jest rzeczą nazbyt widoczną, że takie wysiłki nie zaprowadziłyby daleko. Zootechnika dla swoich postępów wymaga olbrzymich środków pieniężnych, potrzebuje istotnych laboratoryów hodowlanych i rolnych, następnie całej organizacyi dla rozpowszechniania zdobytych wiadomości pomiędzy rolnikami. Stany Zjednoczone, kraj dzisiaj najbardziej posuniętego przewrotu w zakresie wydzierania przyrodzie środków spożywczych, poszedł też dalej w tym kierunku, niż inne kraje. Chcemy właśnie rozpatrzeć tamtejsze w tym względzie urządzenia.

Laboratorya rolne i hodowlane mają nawet względnie niedawną datę. Pierwsza „stacya doświadczalna" ukazała się w r. 1875 w Middletownie. W lat dwanaście później wyszło rozporządzenie, powołujące je do życia w każdym oddzielnym stanie. W r. 1889 znajdowało się już 46 owych stacyj na przestrzeni Związku północno-amerykańskiego, a koszty utrzymania ich wynosiły półtora miliona rubli na nasze pieniądze. Znajdują się one wszystkie pod kierownictwem odpowiedniego departamentu w Waszyngtonie, tak zwanej *office of experiment Stations*. Urząd ten jest pośrednikiem pomiędzy stacyami poszczególnemi, kieruje ich działalnością, łączy i rozpowszechnia wiadomości zdobyte. Pojedyncze stacye są bowiem zobowiązane do udzielania wskazówek ze swojej pracy jedynie mieszkańcom odpowiedniego stanu, podczas gdy urząd centralny czyni to dla kraju całego. W tym celu wypuszcza on „buletyny fermerskie" — *fermers buletins*, tak jasno i popularnie ułożone, ażeby fermer z przeciętną inteligencyą zdołał je zrozumieć i tak praktycznie, żeby je wziął do serca a wskazówki wypełnił. Otrzymuje je każdy, kto zażąda, bezpłatnie. Z drugiej strony ten sam urząd zbiera dane o postępie techniki rolnej i hodowlanej oraz doniesienia o potrzebach zarówno z Europy jak i Ameryki i znowu w postaci wydawnictw rozsyła do stacyi doświadczalnych i wogóle do osób, znanych ze swego zainteresowania. Co więcej, ażeby działalność laboratoryów rolnych i hodowlanych związać z bieżącemi potrzebami rolnictwa, urządzono je tak, iż każdy fermer może się zwrócić z żądaniem przeprowadzenia pewnych prób. „Stacye doświadczalne amerykańskie — pisze pewien agronom niemiecki, który świeżo odbył podróż dla poznania stosunków zamorskich — znajdują się w ściślejszym związku z fermerami swego stanu i o wiele lepiej poznały ich potrzeby naukowe, aniżeli to widzimy w Niemczech, gdzie pracownik na stacyi i rolnik praktyczny są odgrodzeni wzajemnie od siebie murem wysokim, gdyż jeden drugiego nie rozumie. Wielką zaletą

wszystkich wydawnictw amerykańskich stacyi doświadczalnych jest to, że łatwo je pojąć. Każda rozprawa naukowa, wydana przez nie, w swojem zakończeniu podaje ogólno-zrozumiałe wnioski i zastosowania do praktyki agronomicznej. Stacye Stanów Zjednoczonych może zbyt wiele i zanadto prędko ogłaszają, tak iż to i owo ukazuje się na świat w postaci niedojrzałej. Wogóle jednak są one wiernemi i sumiennemi doradczyniami rolników swego stanu i pionierami postępu w zakresie rolnictwa krajowego.“ A dodajmy, że z każdym rokiem działalność tych urzędów się rozszerza. Ledwie zaczęła się upowszechniać w Stanach Zjednoczonych sztuczna hodowla ostryg, a już jedna stacya robi odpowiednie próby, a J. Nelson, kierujący niemi, z dumą kończy sprawozdanie z doświadczeń nad tą hodowlą: „Nie powinniśmy się dziwić, skoro nadejdzie dzień, gdy o hodowli ostryg ludzie tak będą rozprawiali, jak dziś o hodowli trzody chlewnej. Dziki odyniec zgoła nie będzie bardziej niepodobnym do dobrej świni czystej rasy, niż nasze ostrygi obecne do przyszłych.“ Kiedy znowu masło amerykańskie zaczęto w większych ilościach wywozić na rynki zagraniczne, przy departamencie (ministeryum) rolnym utworzono wydział mleczny, a w sprawozdaniu urzędowem czytamy z tego powodu: „Niezmiernie ulepszenia, jakie ostatniemi czasy wprowadzono do wyrobu masła, zasługują na to, ażeby je zbadano ściślej i dokładniej, aniżeli to zdołałby uczynić fermer lub właściciel zakładu mlecznego. Zadaniem urzędów rolnych jest podać im korzystne wskazówki.

Przyjrzyjmy się teraz rozmaitości samych stacyj doświadczalnych. Naturalnie, że bierzemy te wypadki, o których wiadomość jest mało rozpowszechniona. A zatem widzimy stacyę w Lexingtonie na przestrzeni 19¼ hektarów, zajętą jedynie poszukiwaniami nad uprawą kartofli, których tutaj hodujo się aż 83 gatunki; w Fort Collins stacya posiada 92 hektarów rozległości i głównie poświęca się poszukiwaniom nad zbożem, hoduje 366 odmian pszenicy, 34 jęczmienia, 52 owsa, badając między innemi, ile dni każdy gatunek wymaga, ażeby dojrzał; w Lincolnie poszukiwania dotyczą znowu kartofli w 176 odmianach; stacya burlingtońska zajmuje się badaniem ras krów mlecznych, jakości niabiału, wydajności; z najlepszej krowy w ciągu doby otrzymano 19 kilogramów mleka i nadto niemal 0,71 masła solonego; stacya w Genewie pod New-Yorkiem podczas ostatniego roku sprawozdawczego zajmowała się hodowlą kur, a mianowicie przeciętną wagą jaj przy danem pożywieniu i stratą przy przechowywaniu, różnicą w składzie chemicznym jaja itd. Dodajmy do tego stacye warzywne, owocowe, hodowlarnie najrozmaitszego rodzaju, a otrzymamy obraz działalności laboratoryów rolnych Związku północno-amerykańskiego. Zpośród nich zatrzymamy się bliżej nad stacyami owadowemi.

Istnieją one w kilku miejscach, atoli najważniejsze są w Amherst w Itace. *Insectary* takie poszukują środków tępienia owadów szkodliwych. W jednej izbie hodują— mówimy o stacyi w Amherst — i przechowują przez zimę poczwarki szkodliwych owadów, inna, „owadobójnia“ zajmuje się sposobami zabijania ich. Każdy owad posiada swój życiorys, miejsce w zakładzie z odpowiednią temperaturą, żywność wciąż świeżą, a dwóch pomocników spełnia na polach obowiązki myśliwców. W Itace troskliwość posunięto jeszcze dalej: zbudowano np. osobne urządzenia dla owadów, niszczących korzenie, a nadto sidła nocne, z latarni, w różnych polach, w celu wypróbowania, o ile w ten sposób i jakie gatunki owadów można wytępić. Dla uzupełnienia powyższego obrazu przyjrzyjmy się jeszcze jednej doświadczalni — mlecznej w Guelph (w Kanadzie). Utrzymuje ona 20 własnych krów i nadto dokupuje mleko od 150 z okolicy. Mleko to przerabia na masło i sery, badając, jakie sposoby są najpraktyczniejsze oraz przy jakim składzie wytwór można przechowywać najdłużej bez pogorszenia jego jakości. Lecz nie w tem jednem spoczywa główne zadanie doświadczalni. Prowincya Ontario, w której owa doświadczalnia się znajduje, liczy z górą 800 fabryk sera i około 40 masła. Przedsiębiorstwa te są zorganizowane naprzód w dwa *Dairymen's associations* — mleczno-serowe, z których każde posiada 4 inspektorów mlecznych i serowych, a nadto w *Creamery-Association*, posiadające dwóch inspektorów dla masła. Właśnie ci inspektorzy znajdują się pod kierunkiem doświadczalni. Każda fabryka serów i masła płaci rocznie 8—12 dolarów, a natomiast trzy razy do roku ci inspektorzy zjawiają się w danem przedsiębiorstwie, udzielają wskazówek i miewają wykłady. Nadto sama doświadczalnia rozsyła wciąż do zakładów, wyrabiających masło i ser, wszelkie rady i sprawozdania ze swoich poszukiwań.

Atoli doświadczalnie są tylko głównemi oazkami tej sieci organizacyjnej, która ma fermerów amerykańskich prowadzić ku bardziej rozwiniętej technice rolnej i hodowlanej. Istnieje jeszcze mnóstwo innych urządzeń, z których zajmiemy się jedynie tak zwanymi instytutami fermerskimi. Najsystematyczniej są one urządzone w kanadyjskiej prowincyi Ontario, gdzie parlament miejscowy wziął sprawę w swoje ręce, ale nie braknie ich nigdzie, ani w Kanadzie, ani w Związku północno-amerykańskim. Instytut taki może powstać w każdej gminie Ontaria, jeżeli w tym celu zbierze się 50 członków, opłacających rocznie 25 centymów (pół rubla) i zobowiązanych do uczestnictwa w zgromadzeniach dwa razy rocznie w różnych okolicach gminy. Profesorowie kolegium agronomicznego podają władzy zbiór odczytów o rolnictwie, jakie mieć mogą; nadto władza ta powołuje jeszcze praktyków. Lista rozsyłana bywa ogółowi instytutów, które wybierają ten lub ów przedmiot. Prelegent bezpłatnie (koszty ponosi państwo) przybywa na zgromadzenie, które rozpoczyna się po południu dnia jednego i trwa cały dzień następny. W r. 1888 odbyło się w prowincyi takich zjazdów 80.

Nieco odbiegliśmy od przedmiotu, chociaż bardziej pozornie, niż rzeczywiście. Chcieliśmy wskazać działalność doświadczalni i tego przewrotu w hodowli i rolnictwie, jakiego są one zwiastunkami. Są to dopiero pierwsze kroki w tym kierunku, a ambicya uczonych inżenierów zootechniki sięga o wiele dalej, niż to daje się spostrzedz z opisu powyższego. Jedni marzą o próbach na szeroką skalę nad przyswojeniem spożyciu ludzkiemu roślin, obecnie dzikich a nietkniętych, inni mówią o instytutach ewolucyjnych, wytwarzających nowe gatunki zwierzęce — maszyny żyjące, które w swoim organizmie przerabiałyby proste substancye na bardziej złożone a człowiekowi potrzebne; jeszcze inne — do nich w przyszłości powrócimy — myślą o sprowadzeniu w pasie umiarkowanym dwu żniw rocznie przy pomocy odpowiedniego nawozu oraz stosowania wyhodowanego gatunku zboża. Stoimy zatem u progu istotnego przewrotu. Atoli wraz z tem występuje inna kwestya — upowszechnienia zasad powstającej agrotechniki oraz jej owoców. Początki rozwiązania jej widzieliśmy już częściowo w instytutach fermerskich. Dalszem rozszerzeniem jest żądanie ustanowienia agronomów państwowych, którzy w każdej gminie kontrolowaliby gospodarstwa rolne: powstrzymywaliby jedne, przestarzałe sposoby uprawy gruntów, kierowali wprowadzeniem innych, odbierali niepoprawnym rutynistom prawo marnotrawienia sił przyrody, prowadzili fermy wzorowe i byli pionierami postępu agronomicznego. Państwo też, jak tego już dzisiaj żądają fermerzy amerykańscy, winno z biegiem czasu pójść jeszcze dalej. Każda gmina ma posiadać bezpłatnych stadników rasowych, nawet rasowców drobiu, organizacya zaś agronomiczna — prawo zmuszenia niechętnych do korzystania z tego. Ona też winna stać się instytucyą, dostarczającą lepszych gatunków nasion, a nadto narzędzi rolnych po cenie kosztu na czasowe użytkowanie.

Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

O krótszą drogę. Interesy handlowe między Rosyą i Niemcami skłaniają interesowanych do poszukiwania jaknajwiększych uproszczeń dla przewozu towarów. Między innemi zwrócono w ostatnich czasach uwagę na konieczność stworzenia kolei, łączącej bezpośrednio Warszawę z Wrocławiem. Naczelny prezydent rządowy Szlązka zapytywał już izbę handlową wrocławską o znaczenie handlowe owej linii i otrzymał taką ocenę uproszczenia komunikacyjnego. Obecnie odległość Warszawy od Wrocławia przez Sosnowice wynosi 506,9 kilometrów, podczas gdy linia Wrocław-Oels-Wilhelmsbrück-Łódź-Warszawa miałaby tylko 367,1 kilom. długości, czyli byłaby krótszą o 139,8 kilom. od dotychczasowej. Nietylko zatem podróż z Warszawy do Wrocławia trwałaby o 4—5 godz. krócej, ale także koszt przewozu towarów pomiędzy stacyami krańcowemi zmniejszyłby się znacznie. Niemcy zaopatrują się u sąsiadów w ziemiopłody i wszelkie produkty rolne, niezbędne dla nich (len, konopie, wełna, łój, makuchy, otręby itd.). O ile więc chodzi o przywóz, dla Wrocławia takie skrócenie drogi grałoby niepoślednią rolę. Wywóz do Rosyi, wskutek znacznego z jej strony podwyższenia ceł, bardzo upada. Prowadzone zaś rokowania z państwem ruskiem wskazują właśnie, że sposobność do wywozu towarów niemieckich w tamtą stronę nieco się uprawdopobniła. Jeżeli tedy stan rzeczy w zakresie komunikacyjnym pozostanie niezmieniony, to Szląsk i jego miasto główne mało ze spodziewanego zniżenia cła odniosą korzyści. Magistrat hamburski również żywo się zajmuje sprawą owego uproszczenia komunikacyi.

Towarzystwo południowo-ruskie popierania rolnictwa. Instytucya ta, świeżo zawiązana w Kijowie, różni się od zwykłych tego rodzaju towarzystw. Ma ono na celu wzmocnienie podstaw rolników średnich w guberniach: kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, czernihowskiej, połtawskiej, chersońskiej i besarabskiej. Pragnie po możliwie najniższych cenach dostarczać odbiorcom wszystkich niezbędnych produktów i narzędzi gospodarczych, tudzież zbywać korzystnie wytwory uczestników. Towarzystwo posiada prawo otwierania w Rosyi i za granicą składów, magazynów, agentur handlowych i zawierania wszelkich układów. Członkiem może zostać każdy właściciel ziemski, dzierżawca lub zarządzający majątkiem, po nabyciu akcyi storublowej. Główną dążnością stowarzyszenia jest ochrona wytwórców rolnych od wyzysku pośredników.

Stan finansów ruskich. *Journal de St. Petersbourg* prostuje poglądy dzienników zagranicznych: „Gdyby się dawało wiarę tej prasie, to rząd byłby zniewolony koniecznie albo zaciągnąć pożyczkę zagraniczną, albo dokonać nowych emisyj biletów kredytowych.“ Na odparcie zarzutów pismo podaje następujące dowody: W d. 24 października w Banku państwa i w skarbie znajdowało się gotówki 604,500,000 rubli w złocie, czyli 2,418,000,000 franków, co o wiele przewyższa zapasy złota banku francuskiego (1,673,250,000 fr.) i angielskiego (26 mil. f. st.). Sam skarb ma gotowizny 72½ miliona w biletach kredytowych i 53 miliony w złocie. Przytem dla pokrycia wielu potrzeb asygnatami, skarb, zamiast dokonania operacyi ze swojem złotem, ograniczył się na przekazaniu jego części Bankowi w zamian za równą ilość rubli kredytowych. Gdyby to złoto zamienione było na bilety kredytowe po kursie, to skarb

rozporządzałby jeszcze 100 milionami w asygnatach. Wreszcie w roku bieżącym za ostatnie trzy miesiące, jak zwykle w tym okresie, zwiększyła się gotowizna skarbu wskutek szybkiego wpływania podatków.

Sprawy fabryczne. Rada państwa rozpatrzyła już zupełnie projekt utworzenia w gub. piotrkowskiej oddzielnego okręgu fabrycznego. Z tego powodu etat inspektorów fabrycznych Królestwa Polskiego zwiększy się o pięć nowych osób. Jednocześnie w okręgach warszawskim i piotrkowskim wchodzą przepisy z dn. 3-go czerwca 1886 r. o najmie robotników w fabrykach i powstają zarządy gubernialne: warszawski i piotrkowski (do spraw fabrycznych). W skład ich wejdą w Warszawie dwaj deputaci od miejscowego komitetu przemysłowego, w gub. zaś piotrkowskiej dwaj fabrykanci przedstawieni przez generał-gubernatora warszawskiego.

— W ogręgu łódzkim rozpoczęły się już egzaminy majstrów fabrycznych i wyższego personelu technicznego ze znajomości języków ruskiego i polskiego.

— Akcyza od piwa i zapałek z dn. 13 stycznia r. p. podwyższona będzie o 50% (*Mosk. Wied.*).

— W okolicach stacyi pogranicznych, głównie w Aleksandrowie, Sosnowicach, Granicy tudzież pod Wieruszowem wzrasta wywóz ptactwa domowego. Ożywienie to spowodowało znaczne podniesienie się cen drobiu, hurtownicy zaś, wysyłający największe transporty, pociągnięci zostali do opłaty świadectw gildyjnych.

— We Francyi prawo, dotyczące pracy kobiet i dzieci w przemyśle, nareszcie zostało zatwierdzone i wejdzie w życie z początkiem r. p. Odtąd pracować będą mogły w fabrykach i zakładach rękodzielniczych dzieci powyżej lat 12—13-tu, jeśli mają już świadectwo z nauki początkowej. Poniżej lat 16-tu pracować będą nie dłużej nad 10 godzin dziennie, od 16 do 18 lat najwyżej 60 godzin tygodniowo; nigdy jednak zajęcie przekraczać nie może 11-tu godzin dziennie. Praca nocna jest wzbroniona kobietom, z wyjątkiem pewnych gałęzi przemysłu i okoliczności szczególnych, sprowadzających chwilowe bezrobocie i wymagających następnie zdwojonej pracy. Dzieci poniżej lat 13-tu nie mogą służyć jako aktorzy-figuranci itp. w teatrach i kawiarniach.

Z rynku.

Targi warszawskie. *Plac Witkowskiego*, 8 listopada. Pomimo niewielkiej dostawy pszenica miała słaby popyt. Za wyborową płacono 6,50—6,52½ (korzec), białą 6,30—6,45, pstrą 5,40—6 rs. Obroty z żytem również ospałe. Za wyborowe gatunki płacono 4,85—4,90, średnie 4,50—4,80. Owies 2,85—3,25. Za pud słana płacono 40—42½ k., za pud słomy 30—32½ k. *Magazyny tranzytowe* na Pradze: żyto 73—85 k. (pud), jęczmień 75—93, owies 80—90, kasza jaglana 100—108, gryka 95—99. *Targ na Pradze.* Żyto wyborowe 85—86 kop., średnie 83—84, zwyczajne 80—82, owies wyborowy 90—95, średni 84—88, pospolity 78—83. Gryka przy wielkim popycie 95—100. Jęczmień browarny nie miał powodzenia; za towar na paszę płacono 74—75 k. Kasza jaglana 98—198.

Okowita. Hurtowa wiad. 100° brutto z potr. 2% 11,03, netto bez potr. 10,81; wiad. 78° br. z potr. 8,60, n. bez potr. 8,43. Szynkowa: wiad. 100° brutto z potr. 11,18, n. bez potr. 10,96; wiad. 78° br. z potr. 2% 8,72. n. bez potr. 8,54.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Warsz. Dniewnik:

„W tych dniach prokurator izby sądowej warszawskiej wydał rozporządzenie co do wprowadzenia w wykonanie Najwyżej zatwierdzonej w dniu 3 października r. b. uchwały komitetu ministrów o zawieszeniu w rządach gubernialnych i w instytucyach sądowych okręgu sądowego warszawskiego spraw o samowolne opuszczenie ojczyzny, aż do czasu wydania prawa o przyjmowaniu i zrzekaniu się poddaństwa ruskiego. Jak wiadomo, sprawy takie prowadzone były na za adzie prawa z d. 25 kwietnia 1850 r., zwróconego przeciwko nielegalnemu opuszczaniu ojczyzny przez przedstawicieli szlachty polskiej, a następnie rozszerzonego w praktyce sądowej na wszystkie inne stany. Prawo to wytwarzało cały szereg trudności, przy stosowaniu go do ubogich, niższych warstw ludności, powodowało masę spraw w sądach i ostatecznie, prócz rzadkich wyjątków, nie doprowadzało do żadnego rezultatu. Nieznaczna liczba, przy wprowadzaniu w wykonanie wyroków sądowych, okazywała się niewinnie skazaną, co dawało dozorowi prokuratorskiemu powód do występowania do rządzącego senatu z przedstawieniem o ponowne rozstrząśnięcie spraw. Dobroczynna opinia komitetu wydana została na przedstawienie prokuratora warszawskiej izby sądowej do ministra sprawiedliwości, o wszelkich trudnościach, jakie wywoływało w praktyce stosowanie przestarzałego prawa z 1850 r., które miało na względzie zupełnie inne cele.“

Gazeta policyjna zamieszcza następujące dwa rozporządzenia kuratora okręgu nauk. warszawskiego:

a) Co do uczniów gimnazyalnych: 1) Koniecznem jest prawidłowe zorganizowanie ze strony szkoły, pod kierunkiem dyrektora, codziennego dozoru nad mieszkaniami uczniów, włożywszy obowiązek w tym względzie głównie na inspektora, gospodarzów klasowych oraz ich pomocników; 2) ściśle określić czas, który uczniowie winni znajdować się w domu, oznaczywszy godzinę np. od 6 do 7, unikając ogólnych, niejasno określających wyrażeń: „z nastaniem zmroku“ itp.; 3) przyzwyczajać dyżurnych, zwiedzających mieszkania, aby odnotowywali w dzienniku o każdem wydaleniu się z domu, oraz o czasie ogólnej przechadzki, wyjścia do szkoły, kościoła itd., tudzież o czasie powrotu uczniów; 4) przyzwyczajać uczniów, aby rzeczy swoje utrzymywali w należytym porządku, aby nie posiadali książek, przedmiotów zakazanych przez przepisy lub zbytecznych i niepotrzebnych; 5) rozciągnąć dozór nad zajęciami uczniów w domu; 6) ściśle dopilnować, aby uczniowie po za domem zawsze byli ubrani według przepisanej formy, nie dozwalając na zdejmowanie z czapki ustanowionych znaków, na niewłaściwe noszenie czapek lub pasów, na noszenie mundurów niezapiętych na wszystkie guziki itd.; 7) zawsze i bezwarunkowo posyłać dozorców ze strony zwierzchności szkolnej do miejsc publicznych, do których wstęp uczniom jest dozwolony, jak np. do teatrów, na koncerty, do kąpieli, na ślizgawki itp.; 8) zawsze zalecać uczniom, że są obowiązani ściśle stosować się do przepisów grzeczności i przyzwyczajać ich do zachowania się przyzwoitego po za szkołą i po za domem, oraz przyuczyć do należytego ugrzecznienia dla starszych. Wogóle nie należy nigdy osłabiać dozoru nad ścisłem wykonywaniem przepisów, porozumiewając się przytem z władzami administracyjno-policyjnemi w celu pozyskania ich pomocy w granicach wydanych w tym względzie rozporządzeń. W stosunku do zakładów naukowych w Warszawie mam zaszczyt uprzejmie prosić naczelników o zachowanie rozporządzenia co do podziału miasta na rewiry, a w celu ułatwienia dozoru w całem mieście, przy pomocy pełnego personelu naukowo-wychowawczego rozciągnąć ścisły dozór nad swoimi uczniami, gdziekolwiek spotykanymi. Do miejsc zakazanych dla uczniów, do których wstęp im jest im wzbroniony, należy zaliczyć jeszcze Dolinę Szwajcarską i teatr przy ulicy Królewskiej.

b) Co do studentów. Niejednokrotnie zauważono, iż studenci uniwersytetu oraz Instytutu weterynaryjnego w Warszawie nie zachowują obowiązujących ich przepisów, zwłaszcza pod względem noszenia uniformu, z tego więc powodu podaję do wiadomości policyi dla stosownego do postępowania i rozciągnięcia odpowiedniego nadzoru, że według zatwierdzonych przez p. ministra oświecenia w dniu 26 lutego przepisów (§§ 1 i 5), o noszeniu uniformu, studenci, tak w uniwersytecie, jak po za jego murami, winni nosić uniform podług ustanowionej formy, przyczem jest im wzbronione noszenie lasek lub kijów. Na mocy przepisów dla studentów i wolnych słuchaczów: a) po za murami uniwersytetu podlegają oni, na zasadach ogólnych, postanowieniom policyi (§ 8); b) wzbronione im jest występowanie w charakterze zarządzających publicznemi procesyami i urządzanie na pogrzebach łańcuchów (§ 9); c) wzbronione im są wszelkiego rodzaju zebrania lub gromadzenia się (§ 12); d) obowiązani są bezwarunkowo zawsze mieć przy sobie matrykułę i kartę na prawo uczęszczania na lekcye (§ 17); e) winni czynić honory, podnosząc rękę do daszka czapki: 1) stając frontem, przy spotkaniu Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa, Ich Cesarskich Wysokości: Następcy Tronu, Wielkich Książąt i Wielkich Księżniczek i 2) nie stając frontem: przy spotkaniu ministra oświecenia, jego pomocnika, kuratora okręgu naukowego, pomocnika jego, generał-gubernatora, gubernatora, naczelnika miasta, miejscowego arcybiskupa i wszystkich swoich bezpośrednich zwierzchników oraz profesorów (§ 18) i f) student, który otrzyma urlop na wyjazd, jest obowiązany matrykułę swoją oraz kartę na prawo uczęszczania na lekcye wręczyć inspektorowi, a z urlopem bezwarunkowo zgłosić się do właściwego cyrkułu policyjnego w celu otrzymania pozwolenia na wyjazd (§ 25).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zarząd robotami publicznemi przestał przyjmować robotników do budowy szosy nad brzegami morza Czarnego. Zaprzestanie to wywołane zostało nadmiernym napływem włościan z różnych miejscowości, pomimo iż wynagrodzenie wynosiło tylko 6 rs. miesięcznie z życiem.

— *Ruskaja Żizń* donosi, że ministeryum dworu ostatecznie rozstrzygnęło sprawę urządzenia teatrów ruskich w Rewlu, Dorpacie i innych wielkich miastach na pograniczach, gdzie słabo jest rozwinięty język państwowy i idea narodowa.

— W Warszawie we wszystkich kancelaryach cyrkułowych, gdzie komisarze są urzędnikami cywilnymi wyznań niechrześciańskich, wywieszono taksy, dotyczące akt stanu cywilnego.

— Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze rozesłało do swoich członków odezwę z prośbą o zjednywanie nowych stowarzyszonych. Obecnie instytucya ta ma dwa główne cele na pierwszym planie: utworzenie Muzeum ogrodniczego i urządzenie własnego ogrodu.

— Zatwierdzono Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników kolei Warszawsko-Petersburskiej.

— Postanowiono znieść wszystkie żydowskie bractwa pogrzebowe.

— Znaczna liczba kolonistów niemieckich w Rosyi zakupuje kolonie rentowe w Prusach Zachodnich.

— Według doniesień dzienników ruskich, sprawa wypoczynku świątecznego na kolejach żelaznych jest bliską rozwiązania. Przyjmowanie i wydawanie ładunków, z wyjątkiem terminowych, będzie wstrzymane. W święta wyznaczane będą tylko dyżury urzędników.

Zdrowie publiczne. Cholera w Lublinie prawie zupełnie wygasła. Według wykazów urzędowych, dnia 30, 31 października i 1 listopada, nikt tam nie zachorował i nie umarł, a pozostało chorych tylko 22 osoby. W powiatach gub. lubelskiej zachorowało osób 75, wyzdrowiało 91, zmarło 37, pozostało chorych 111. W innych miejscowościach Królestwa tudzież w Warszawie również jest widoczne zanikanie epidemii, śmiertelność nadzwyczaj słaba, procent wyzdrowień wzrasta z dniem każdym.

— Do dn. 7 listopada w Galicyi zmarło na cholerę ogółem 142 osoby.

— W Hamburgu zniesiono wszystkie przepisy wyjątkowe, wydane z powodu cholery.

Szkoły. Prof. uniwersytetu warszawskiego, p. Budilowicz, został mianowany rektorem uniwersytetu w Dorpacie; dziekanem zaś uniwersytetu warszawskiego wybrany prof. H. Struve.

— Na I-ym kursie wydziału prawnego uniwersytetu warszawskiego studenci otrzymali pięć tematów konkursowych: 1) Charakterystyka źródeł drugiego okresu rzeczpospolitej rzymskiej; 2) O znaczeniu prawodawstwa cesarza Justyniana W.; 3) Pogląd Jheringa na prawo rzymskie; 4) Charakterystyka prawników klasycznych: Pauliana, Ulpiana, Paulusa, Gaja i Modestinusa; 5) O znaczeniu szkoły historycznej dla rozwoju prawa rzymskiego.

— Pp. Stefan Barcikowski i Ludwik Załuski do ministeryum dóbr państwa wnieśli podanie o koncesyę na niższą szkołę rolniczą podług ustawy normalnej, ułożonej dla szkół agronomicznych i ogrodniczych. Nowy zakład powstanie w gub. łomżyńskiej pod Ostrowem, w pobliżu stacyi kolejowej Czyżew.

Wystawy. Na zapytanie biura wszechrosyjskiej wystawy hygienicznej warszawski zarząd miejski oświadczył, iż życzy sobie wziąć w niej udział i przedstawi dokładnie tutejsze urządzenia kanalizacyjne i wodociągowe. Na ten cel magistrat wnosi kredyt do budżetu miasta.

— Towarzystwo techniczne w Petersburgu urządza na wiosnę wystawę robót fotograficznych.

— Na wiosnę r. 1894 otwarta będzie w Medyolanie międzynarodowa wystawa elektryczności.

Dobroczynność publiczna. W miarę zniżania się temperatury kuchnie ludowe za rogatką wolską coraz silniej są oblegane. Liczba wydanych obiadów dochodzi do 1100 dziennie, herbaty 900 szklanek.

— Z kuchni na Szerokim Dunaju korzystają przeważnie: przekupki, służba sklepowa i wyrobnicy.

Literatura i sztuka. W salonie Towarzystwa zachęty odbywa się wystawa obrazów malarza-impresyonisty Podkowińskiego.

— Na rzecz chorego malarza Wolskiego koledzy urządzają wystawę obrazów i szkiców.

— Malarz Alfred Wierusz Kowalski pozwolił urządzić z obrazów swoich wystawę, z której dochód pójdzie na wpisy dla studentów niezamożnych i na gmach Towarzystwa zachęty.

— W Paryżu pod redakcyą deputowanego radykalisty Chassaing powstaje nowe pismo *Le XX siècle*.

— W Londynie wychodzi w języku angielskim *Bez dogmatu* Sienkiewicza i „Antologia poetów polskich."

Kalendarze humorystyczne. Po „Facecie" *Muchy* dwa inne pisma tego charakteru wydały swoje zbiorki: *Świąteczny* na obchód 25-lecia — „Kalendarz humorystyczny" i *Kolce* — „Warszawiankę." Nie wchodzimy w szczegółowy rozbiór tych wiązanek humoru, częścią szczerego, a częścią wymuszonego; zwrócimy tylko uwagę wydawców, że powinni poprosić p. Kostrzewskiego, ażeby zaprzestał rysować jedne i też same figury. Zwłaszcza nieśmiertelną kobietę z kokiem przetkniętym dużą szpilką należałoby już raz pozostawić w stanie zasłużonego spoczynku.

Bibliografia. I. Verne, *Bez przewrotu*, tłom. J. Zaleska, str. 250, Warszawa, Paprocki kop. 80.

— Sewer, *W cieniu i na słońcu*, obrazki, str. 387, Warszawa, Paprocki, rs. 1 k. 60.

— E. Stuart-Thelps i H. D. Ward. *Powstań!*, pow. hist. z czasów Chrystusa, str. 388, Warszawa, Paprocki, rs. 1 k. 35.

— O. Hansson, *Młoda Skandynawia*, str. 239, Warszawa, Paprocki, k. 75.

— H. Wojcicki, *Praktyczna gramatyka języka polskiego*, str. 101, Warszawa.

— M. Kawecki i F. Tomaszewski, *Fizyka i krótki rys kosmografii*, str. 261, Kraków.

— *Chemia* str. 53, Kraków (dodatek do książki poprzedniej).

— *Noworocznik radomski*, str. 168, kop. 35.

— Dr. L. Kadler, *O środkach ochronnych od chorób wenerycznych*, str. 104, Warszawa.

Zmarli. Kazimierz Witkowski, w Częstochowie, redaktor *Kaliszanina*. Do wybitniejszych prac jego należą: „Rys statystyczny gub. kaliskiej," obrazki i poezye p. t. „Wyrwane kartki," obrazek dramatyczny „U wrót wolności" pod pseudonimem Kazimierza Nowiny. Redakcyę *Kaliszanina* objął w r. 1875. Zmarł w 39 roku życia.

— Hervé w Paryżu, kompozytor muzyczny.

— Prof. Henryk de Ahna w Berlinie, znany profesor królewskiej Akademii muzycznej, słynny wirtuoz-skrzypek.

— Dr. August O. V. Essenvein, znakomity architekt, historyk sztuki, dyrektor Muzeum germańskiego w Norymberdze.

— Teresa Karaks, pisarka węglerska.

— Th. Woolner, rzeźbiarz i profesor w Londynie.

— Wilhelm v. Jsing, poeta dramatyczny w Kassel.

— Antoni Gindely, prof. historyi austryackiej w uniwersytecie niemieckim w Pradze czeskiej. Wybitniejsze jego dzieła: „Rudolf II i jego czasy," „Historya wojny trzydziestoletniej." Wydawca zbioru p. t. „Monumenta historiae bohemicae 1618—1823."

— Maurenbrecher w Lipsku, słynny historyk. Niegdyś był profesorem historyi na uniwersytecie dorpackim.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

J. P. Dopuszczona i beletrystyka. Wydział krajowy we Lwowie.

Jan Mar. Wkrótce szerzej to Panu wyjaśni jeden z artykułów.

Pani Ant. Sal. w Krakowie. Obecnie nie mamy miejsca, zresztą nie możemy odpowiedzieć, nie znając ani oryginału, ani przekładu.

P. Piotr. Chm. w Starej Osocie. Nietłomaczone.

Panu Feliksowi Piotrowskiemu. Po szczegóły w kwestyi człowieka przedhistorycznego u nas sięgnąć należy do *Zbiorów wiadomości do Antropologii krajowej*, *Pamiętnika fizyograficznego*, *Sprawozdań komisyi fizyograficznej*. Z dzieł ogólniejszych mogących być pomocnemi w tym przedmiocie wymienimy: A. Kohn und Mehlis, *Materialien zur Vorgeschichte der Menschen in östlichen Europa*. I. Geikle, *Prehistoric Europe*. Hörnes, *Die Urgeschichte des Menschen*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 30 Октября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski**.